



I JESZCZE RAZ W KOŁO...

TAK TĄCZYŁY W KRAKOWIE NA SCENIE TEATRU IM. SŁOWACKIEGO ZESPÓŁ PRZYSZŁYCH MEDYKÓW Z POZNANIA. W ELIMINACJACH STUDENCKICH ZESPOŁÓW ARTYSTYCZNYCH PRZED LIPCOWYM ZŁOTEM WZIĘŁO UDZIAŁ PONAD 1500 MŁODYCH ŚPIEWAKÓW, TĄCZYZY, MUZYKÓW I RECYTATORÓW ZE WSZYSTKICH SZKÓŁ WYŻSZYCH W KRAJU.

W DZIESIĄTĄ ROCZNICĘ WYMARSZU G.L.



W dziesiątą rocznicę wymarszu Gwardii Ludowej w Auli Politechniki Warszawskiej odsłonięto tablicę ku czci dowódcy I Oddziału G. L. — Franciszka Zubrzyckiego. Odsłonięcia tablicy dokonał członek Biura Politycznego KC PZPR, Franciszek Jóźwiak — Witold

ZBRODNIĄ W ESSEN



11 maja policja zachodnio-niemiecka w Essen zaatakowała członków FDJ, demonstrujących przeciwko zdradzieckiemu „układowi ogólnemu”. Policja zabiła jednego chłopca i ciężko zraniła kilkadziesiąt osób.

OFIARY PAŁEK POLICYJNYCH



Uczestniczka strajku w fabryce celulozy w Grenoble (Francja) — ofiara pałek policyjnych.

WYSTĘP ZESPOŁU ARMII CZECHOSŁOWACKIEJ



W Warszawie wystąpił zespół artystyczny armii czeskosłowackiej, oklaskiwany gorąco przez publiczność.

WYSTAWA „DZIECKO W POLSCE” W SZTOKHOLMIE



W Sztokholmie otwarto zorganizowaną przez Towarzystwo Szwedzko-Polskie wystawę: „Dziecko w Polsce”.

POŁUDNIOWI AFRYKAŃCZYCY WALCZĄ O SWE PRAWA



W Johannesburgu tysiączne rzesze ludności „kolorowej” demonstrowały przeciwko nowym ustawom dyskryminacyjnym, narzuconym przez faszystowski rząd

pastora Malana. „Żądamy wolności”, „Precz z podziałem rasowym”, „Równa płaca dla wszystkich” — oto hasła, pod którymi odbyła się demonstracja.

1 MAJA W TOKIO



Pierwszomajowy pochód robotników w Tokio zaatakowany został przez japońską policję — jeden z manifestujących został zabity. Wiele osób odniosło rany.

KARABINY PRZECIW BEZBRONNYM



W zachodnim Berlinie amerykańskie wojska odbywają specjalne manewry, ucząc się tłumienia i rozpraszania demonstracji przy użyciu broni palnej.

NA CZĘŚĆ THOREZA



Demokratyczne organizacje młodzieży francuskiej zwołały wiec dla uczczenia 52 rocznicy urodzin Sekretarza

Generalnego KPF — Maurice Thorez'a. Młodzież żąda „pracy, wyższych płac i prawa do nauki dla wszystkich”.

MANIFESTACJA LUDU PARYŻA



Müller

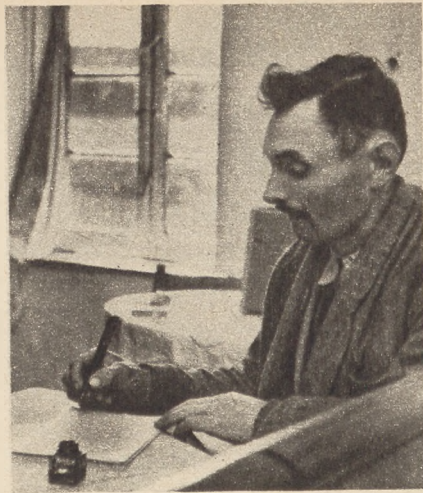
1 Maja na ulicach Paryża zebrały się niezliczone tłumy manifestantów. Na czele pochodu kroczyli: Benoit Frachon, sekretarz CGT, prof. F. Joliot-Curie oraz Allain Le Leap i Eugeniusz Hénaff — działacze związkowi.



POCHÓD PIERWSZOMAJOWY W AMSTERDAMIE



Masy pracujące krajów kapitalistycznych uroczyście obchodziły 1 Maja. Ulicami Amsterdamu przeciągnął imponujący pochód robotników niosących pochodnie.



GDY KORESPONDENT WIEJSKI DZIAŁA...

TADEUSZ SARNECKI — Zdjęcia: W. PRAŻUCH

ZACZEŁO się wszystko od notatki „Trójka gromadzka nawaliła”. Odegrała ona przysłowiową rolę kija w mrowisku. Głęb napisał: „...trójka, która miała za zadanie wymierzyć ile mamy sprzedać zboża Państwu, że się wywiązała ze swych obowiązków... Do owej trójki należeli: Józef Różański, Wincenty Rozpłochowski oraz Leon Zygmunt, prezes Koła ZSCH w Zacharzynie... Nie chciało się im obejść gospodarstw wszystkich obywateli, aby zobaczyć, kto ma zboże na sprzedaż. Usiedli sobie za stolikiem, na oko rozdzielili tych 15 ton nałożonych według planu gminnego na naszą gromadę, tak, że każdemu, czy ma zboże, czy go nie ma, przeznaczono po 15 kg z jednego hektara. Ale potrafilimy sprawę pchnąć na właściwą drogę”.

Nie była to zasługa „ojca gromady”, sołtysa Rudolfa. Najbardziej sami zapomnieli się o swą krzywdę, posiadali zaledwie po pół hektara ziemi ornej, od dawna nie mieli ani żyta, ani maki, chleb kupowali w mieście. Żyto leżało w spichlerzach kułaków, którzy usiłowali wykpić się ze skupu kilkunastu tylko kilogramami ziarna.

Od tej chwili nie miał Głęb łatwego życia. Podbuntowany przez kułaków brat wszczął z nim bijatykę, siostra zagroziła zerwaniem, matka gniewała się, a nawet żona krzyczała, że „tego wstydu” nie przeżyje. Nie zaprzestał jednak korespondencji, przeciwnie, pisał coraz częściej, lecz musiał już wystrzegać się wieczorów i miejsc samotnych. Napierała, powiatowy sekretarz Samopomocy Chłopskiej, głośno oskarżał Głębą, że „pisze do redakcji plotki, sieje ferment w Zacharzynie i że raczej donosić powinien o osiągnięciach”. Antoni Wieruszewski, przewodniczący Gminnej Rady Narodowej, nazwał go łajdakiem i stwierdził, że „gdyby nie był urzędnikiem, sprząby go po mordzie”.

Groźby te nie były dla Głęba przyjemne; w jednym z listów do „Chłopskiej Drogi” napisał z godnością: „Ponieważ przestałem artykuł po stwierdzeniu wszystkich danych, więc wiem, że to jest prawda i za tę prawdę, którą odważyłem się im wytknąć, muszę także cierpieć wyzwiska i poniżenie. Ja tylko tyle dodam, iż nie ulegnę się wszelkich gróźb, tylko dalej konsekwentnie będę dążył do tego, aby złe chwasty, które wyrastają w naszej ojczyźnie, wyrwać, abyśmy jak najprędzej mogli u nas zbudować Socjalizm”.

SPÓŁDZIELNIA NA NIBY...

Małorolni, zjednoczywszy się w walce o właściwe rozplanowanie skupu zboża, zaczęli rozglądać się za jakimś stałym rozwiązaniem swych kłopotów. Wtedy to obywatel Rudolf wystąpił z planem błyskawicznego założenia spółdzielni. Powiedział, iż wystarczy mu tydzień czasu i istotnie po tygodniu podpisał deklarację kilkudziesięciu chłopów. Co dziwiło Głębą, to wielki udział w spółdzielni chłopów stojących na pograniczu kułactwa, a i kułaków nie brakło; przy całej ostrożności z liczeniem morgów i dochodów, wska-

zać by można co najmniej takich trzech. Myśl o spółdzielni miała już drogę ułożoną, ale co Rudolf mówił swoim znajomym w cztery oczy, nikt nie wiedział i trzeba się było pogodzić z faktami. Spółdzielnia „Wolność” powstała istotnie bardzo szybko. Coś się wszakże za tym kryło.

Antoni Rudolf był sołtysiem gromad Zacharzyn i Wymysław, zamieszkałych przez chłopów, którzy ścignęli tu z całej Polski. Trochę zahukani, jak zawsze na nowym, nieznany teren, łatwo dali sobą kierować, a Rudolf lubił kierować, sądził, że się na to właśnie urodził. Wszędzie było go pełno, nie robiło się bez obywatela Rudolfa. Po prostu ojciec osady!

Jeden tylko Głęb zaczął się orientować, kim był Antoni Rudolf.

Ten korespondent „Chłopskiej Drogi” przybył tu spod Myślenic, a pochodził spod Nowego Targu. Jego to pióro spowodowało, że Zacharzyn wkraczał na nową, całkiem inną drogę...

Co się kryło za powodzeniem Antoniego Rudolfa Głęb zrozumiał najpierwszy. Nie było to powodzenie uczciwe.

Spółdzielnię założono 24 października 1950 roku, a wspólna praca rozpoczęła się niala dopiero pierwszego września roku następnego, niezgodnie więc ze statutem i z interesem Państwa.

„My, to znaczy Wojciech Maćkowiak, Stanisław Piątkowski, Feliks Klessa, Michał Młotki i Leon Zygmunt — pisał do „Chłopskiej Drogi” Głęb — już z wiosną chcieliśmy wspólnie pracować, ale większość chciała korzystać ze wszystkich praw, z przydziałów tekstylnych, z treściwych pasz, no i z obniżki podatku, ale do 1 września chciała gospodarzyć indywidualnie, po prostu jak się to mówi, nosić płaszcz na dwóch ramionach... Obywatel Rudolf krzyczał: „Kto chce pracę zacząć już od marca, to niech się wynosi z Zacharzyn... nie tak będzie jak kto chce, ale jak ja chcę”.

Zaalarmowana listem „Chłopska Droga” zaczęła działać, ale i władze terenowe nie spały. Przyjechała do wsi przewodnicząca Powiatowej Rady Narodowej, Duczmalowa, i złamała dyktatorską postawę Rudolfa. Na zebraniu oświadczyła wobec wszystkich: „Jedno zauważyłam w przemówieniach obywatela Rudolfa, a mianowicie, że zawsze i wszędzie stawia przed sobą własne „ja”. Ja założyłem spółdzielnię, ja pracuję nad jej rozwojem... itd. Obecnie to są „my”, a nie „ja”.

„My” nie dali już spokoju, znaleźli oparcie w sekretarzu Powiatowego Komitetu PZPR, Adamusie, i przed słowami przypuścili jeszcze jeden szturm. Większość Rudolfa przegrała w głosowaniu, uchwaliła o rozpoczęciu pracy w jesieni obalono, podjęto zobowiązania. Powstał konkretny plan gospodarki: członkowie spółdzielni postanowili podnieść wydajność siana z łąk o 5 kwintali z jednego hektara, założyć oborę i wezwać do współzawodnictwa spółdzielnię z Żelgiewa.

Nie kleiła się jednak praca. Spółdzielnia miała 68 członków, ale do robót w polu nie chodziło więcej jak 24



Pole uprawione dobrze, ale nie zaszkodzi, jeśli wzmocni się je saletrazakiem.

Grupa polowa sieje go pod wiatr, ręką, jak to niegdyś siał się zboże.

czasami tylko 5. Dawni właściciele dwudziestohektarowych gospodarstw deklarowali najpierw zboże, a później mówili, że skarmili je końmi. Do obory spółdzielczej oddano najgorsze krowy, niskomleczne. Ktoś każde poczynanie rozbijał od wewnątrz; byli to najczęściej Józef Różański, Michał Łoska i Józef Nowak, o którym w czasie okupacji Bürgermeister miasta Chodzieży miał powiedzieć, iż „jest więcej pożyteczny niż dziesięciu Niemców”.

Oczywista, wyników po takiej pracy nie było, dniówka obrachunkowa wyniosła zaledwie 6 złotych. Małorolni nie chcieli dłużej czekać. Zebranie doroczne w lutym tego roku było ostatnie na którym przewodniczył Antoni Rudolf.

„W SPÓŁDZIELNI JEST CORAZ LEPIEJ”

Głaba zastaliśmy w domu nad nowym listem do „Chłopskiej Drogi”. Po przywitaniu zerknąłem dyskretnie na kartkę zapisanego starannie papieru. Przeczytałem dwa pierwsze zdania: „Donoszę redakcji, iż po wielu trudnościach w Spółdzielni jest coraz lepiej. Mamy obszerną oborę, w której ma pomieszczenie 40 sztuk bydła...”

Bielone wapnem ściany mieszkań były gołe, bez jednego obrazka. Dwa łóżka, stół i krzesło służyły za całe umeblowanie.

— Niezbyt tu u nas bogato — stwierdził Głab, widząc jak błędę wzrokiem po izbie — kułactwo zaważyło nam spółdzielnię. Pozbyliśmy się ich na walnym zebraniu i pozostało nas zaledwie 29, ale już wzrosła dochodowość. W zaliczkach wypłacamy teraz po 10 złotych za dzień pracy, spodziewamy się zaś dniówki obrachunkowej w granicach 25 złotych.

Chcieliśmy obejrzyć pole. Głab zamknął dom i poprowadził nas w kierunku lasu. Niespodziewanie za wspaniałych rozścielił się przed nami dobrze spulchniony czarnoziem. Kilku ludzi posiewało go saletrazakiem, za nimi widać było traktor i mechaniczną sadzarkę ziemniaczaną.

Głaba witano tu życzliwymi uśmiechami. Przedstawił nas nowemu przewodniczącemu spółdzielni, Tadeuszowi Maślance, który zeskoczył z wozu i serdecznie podawał rękę, uczernioną w ziemi. Z traktora zsunął się przodujący traktorzysta, Henryk Ręk, zeszedł z pola Maćkowiak, Krawczyk, Senkner, Miętka i Graczyk, najpracowiśli członkowie grupy polowej. Ciekawość była u nich przyszedł. Dopytywali się bez żadnych wstępów: — Chcecie zobaczyć, jak robimy? Ano, sadzimy pyrkli.

— Nie idzie nam o to, jesteście jakby na nowym. Rok byliście w „spółdzielni na niby”.

— Dobrze, że się to już skończyło. Maślanka całą swą postacią wyrażał wielką energię.

— E, co tu dużo gadać, jest inaczej, a będzie dobrze. Nasze gospodarstwo proste. Mamy 70 hektarów przedniej ziemi i 220 hektarów łąk, nastawiamy się na hodowlę. Kupiliśmy nowe krowy, wysokomleczne, rozbudowujemy oborę.

Pomocnik traktorzysty nasypał do bębna sadzarki nowych ziemniaków, a że chmurzyło się, Maślanka przerwał rozmowę bez ceremonii.

— Wybaczcie, ale spieszymy się, wszystko w tym roku późno. Głab was objaśni!

Wskoczył na sadzarkę, traktor ruszył i cztery talerze równymi bruzdami zakrywały sadzeniaki.

Zaczął mżyć drobny, zimny deszcz, ale nie zrezygnowaliśmy z pójścia na łąki. Leżały po drugiej stronie wsi nad Notecią. Trawa wyrosła wysoko, ale grunt był miękki jak guma, torfiasty.

— I te łąki, ten nasz skarb, nie taki na jaki wygląda. — Głaba ogarnęła nagle chęć mówienia o spółdzielni, jak o chorym, którego wyciągnęło wreszcie z niedomagań. Przypominały mu się coraz nowe szczegóły leczenia. — Wszystko marnowali — ciągnął o kułach Rudolfa. — Łąki siana dają dużo, ale jest kwaśne. Zaorzymy je i posiejemy nową trawę z dużą zawartością białka. Krowy doprowadzimy do wysokiej mleczności.

Białoczarne, dobrze wyrośnięte krowy, stały w zagrodzie, gdzie je dojono. I ludzie tutaj zatrudnieni, mieli w sobie głęboki spokój. Pracowali w ciszy, bez głośniego nawoływania krow, kłatw i bicia kijem. Zdawało się, że rozwija się przed nami taśma niemego filmu.

Za chwilę mogliśmy powrócić do wsi bryczką, zabierającą z łąk mleko do mleczarni. Usiedliśmy obok oborowego Talara. Ostrożnie przejeżdżał przez nadniszczone mostki, przerzucone nad odwadniającymi rowami. Wskazał bitem na łąki.

— Dwa dni deszczu i nie przejeźdźsz. Wszędzie woda, ale damy radę. Będą łąki jak się patrzy. Dawniej były tu same trzęsawiska, tędy ciągnął Henryk, cesarz niemiecki, na Poznań w wojnie z Bolesławem. Obok naszej wsi przechodził przez bród. Kopiąc rowy jeszcze teraz znajdujemy kości ludzi z tamtych czasów.

Zbliżało się południe, z łąk i pól wracali ludzie od roboty. Niektórzy patrzyli na nas wilkiem, ale Głab nie przejmował się już tymi spojrzeniami. Od budynku Zarządu odprowadzał nas główną ulicą osiedla w stronę kolei.

Pożegnaliśmy się przy rozstajnych drogach. Głab był trochę wzruszony, ale zrezygnowanie maskował swe uczucia.

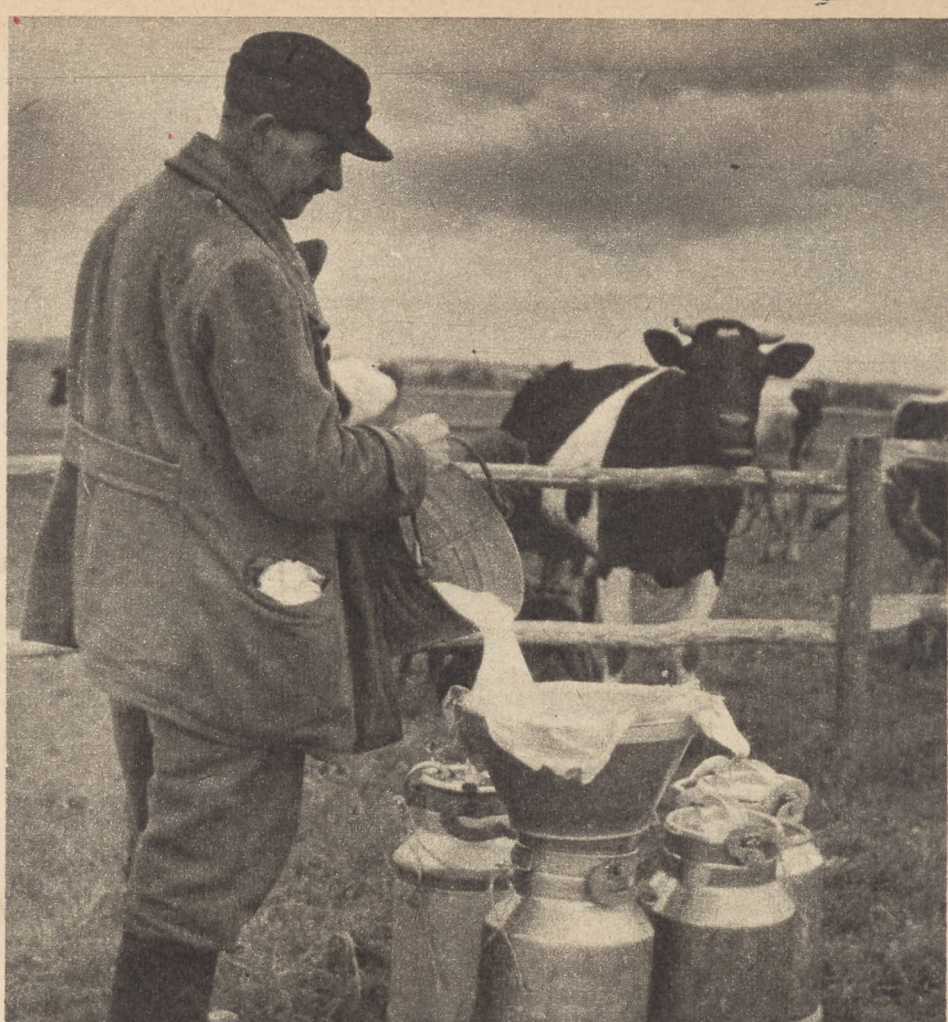
— To już się nie zobaczymy, a tu tak rzadko ktoś zagląda...

— Dlaczego? Spotkamy się na zjeździe wiejskich korespondentów w Warszawie.

— A, prawda! Więc do... widzenia! Patrząc za oddalającym się Głabem, przypomnieliśmy sobie całą jego trudną drogę. Zanim znalazł sobie przyjaciół i zanim zrozumiała go rodzina, był sam. Z jego listów widzieliśmy, że kilka razy był już bliski załamania, jednak wytrwał. Co pomogło mu do wytrwania? Niewątpliwie niezachwiana wiara w słusność swojej sprawy.

W Warszawie spotka na Zjeździe podobnych sobie ludzi, a kiedy podzieliła się swymi przeżyciami, nawzajem jeden drugiemu dodał siły do tego, co Prezydent Bierut nazwał — walką o słusność i prawdę.

TADEUSZ SARNECKI



„Wolność” zaprowadza na wielką skalę hodowlę krów czarnobiałej rasy nizin-

nej. Niektóre z nich dają dziennie po 30 litrów doskonałego, tłustego mleka.



W obiad schodzą z pola zaprzęgi, a Stanisław Talar jedzie wtedy na łąki po

mleko. Przy studni jeszcze ostatnie rozmowy o wykonanej już pracy.



Na polach „Wolności” ziemniaki sadzi się mechaniczną sadzarką ziemniaczaną

Zaoszczędza to siły i czas członków spółdzielni na inne prace polowe



PRÓG NOWEGO ŻYCIA

MIROSLAW AZEMBSKI — Zdjęcia: J. KOSIDOWSKI

MŁODY człowiek uśmiecha się triumfująco i trzeba przyznać, nie bez powodu. Króluje on tutaj niepodzielnie, jest panem tej olbrzymiej maszyny, która kilkunastu naraz czerpakami nabiera glinę z rozkopanego wozu i rzuca ją do podstawionych wózków. Wykonując kilka precyzyjnych ruchów dźwignią, 19-letni Stanisław Komorowski w ciągu godziny dostarcza swojej cegielni 15 m³ gliny, surowiec na wyprodukowanie 6 tysięcy cegieł.

Rząd koparek stoi wśród rozległych gliniastych równin, frontem zwrócony do odległej o jakiś kilometr wielkiej fabryki cegły. Na lewo za piaszczystymi pagórkami rozproszyły się domki osady Zielonka, skąd pochodzi Komorowski i tylu innych, młodych i starych, pracujących teraz w nowej cegielni. Zielonka! Osobliwa to jest miejscowość — o ile to określenie może odnosić się do niektórych, znanych ze swojej szpetoty, podwarszawskich osiedli. Osobliwa i paradoksalna już od początku swej historii: dokoła nielicznych willi warszawskich burżujów przycupnęły domki, budy i budki, najrozmaitszego kształtu i koloru. Budowała je biedota w międzywojennym dwudziestoleciu za z trudem zaoszczędzone pieniądze, budowali je — najczęściej własnoręcznie, całymi rodzinami — kolejarze, tramwajarze, robotnicy sezonowi, ci wszyscy, których nie stać było na zapłacenie komornego w mieście. I tak powstało całe miasteczko tych „posiadaczy”, przymierających głodem właścicieli nieruchomości. Niejeden właściciel „domu” (ze starych skrzynek albo dykty) przez długie lata był bezrobotny.

Poważny procent mieszkańców Zielonki stanowili „strycharze” z okolicznych cegielni, o których mowa będzie później. Teraz wystarczy powiedzieć, że gdyby nie przyszły inne czasy młody Komorowski nigdy nie zostałby „panem na koparce”, nie byłby równocześnie słuchaczem Szkoły Mechanicznej, nie uśmiechałby się triumfująco — tak, jak nie uśmiechali się przed wojną chłopcy w jego wieku, ustawieni w ogonkach przed Urzędem Pośrednictwa Pracy w Zielonce.

DZIENNA PRODUKCJA: MATERIAŁ NA TRZY DOMEY.

Od stanowisk koparek specjalna linia kolejowa prowadzi przez gliniaste pola (zasoby surowca na co najmniej 50 lat) do właściwej cegielni, — największej w Polsce i jednej z największych w Europie. 50 milionów cegieł — taki będzie roczny plon tego ultra-nowoczesnego, całkowicie zmechanizowanego zakładu! Nie tknięta ręką człowieka glina wędruje wagonikami elektrycznej

kolejki pod pierwsze transportery na zewnątrz olbrzymiej hali o trzech nawach...

Zaskakująca jest panorama tej cegielni: ani jednego komina! Na kilkunastu hektarach suchego gruntu rozciągają się budynki, które mogłyby równie dobrze mieścić wytwórnice konserw, jak i fabrykę samochodów. Zresztą przekonamy się później, że produkcja cegieł przypomina nieco — poza rozmiarami — fabrykację cukierków; w każdym razie praca nie jest ani odrobinę cięższa.

Wielkość i rozmach produkcyjny cegielni w Zielonce zaskoczą każdego, kto jeszcze nie tak dawno widział na tym miejscu piaszczystą wydmy, wysoką na 30 m, pokrytą karłowatymi krzaczkami. Dziwili się mieszkańcy chałupki na kurzej łapie: w tak krótkim czasie koparki i traktory, uwiązane się na piasku jak olbrzymie chrabąszcze, zniwelowały teren, samochody wywiozły 220 tys. m³ ziemi. Na suchym podłożu mocno stanęła na fundamentach cegielnia, niby wyspa wśród gliniastych, podmokłych pól. Nowoprowadzone gładkie szosy pobiegły w stronę budującej się Warszawy... 18 kwietnia rozpoczęła się przedterminowo produkcja, a pierwsze gotowe cegły (proces wytwórczy jest dosyć długi) dotrą na warszawskie budowy w końcu maja. Produkcja dzienna wyniesie 150 tysięcy cegieł — ilość potrzebna na wybudowanie trzech dużych bloków mieszkalnych! Znaczenie tego obiektu staje się samo przez się zrozumiałe...

„DOCIERAJĄ SIĘ” LUDZIE...

— Właż pan na górę! Co tam się stało?

— Bezpiecznik nawalił... szefie, rozsypał się na proszek...

— Znowu bezpiecznik!

Już drugi raz tego dnia stają maszyny. Przykra jest taka przerwa: robotnicy patrzą jeden, na drugiego, jak gdyby szukali winowajców. Ale nie ma tutaj złej woli — przyczyny leżą gdzie indziej. Jak to nieraz mawia dyrektor Nowak, „maszyny się docierają i ludzie muszą się dotrzeć”. Cegielnia jest nowa i nowi są ludzie. Zabawne jeśli o strycharzu z dziada-pradziada mówi się „nowy”, a jednak to prawda. Przyszli tutaj pracować starzy fachowcy z przedwojennych cegielni, gdzie wszystko, od kopania gliny aż do formowania cegły, robiło się siłą rąk i wygiętego grzbietu. Stanęli teraz zadziwieni taką robotą: cegły robi się jak czekoladki. Człowiek dogląda tylko maszyny, która robi za niego wszystko. Transportery

ciągną glinę z wagoników do wnętrza hali, żelazne łapy rozciągają ją w wyrabiaczach niby czekoladową masę, inny transporter przerzuca to gliniane ciasto na automat, z którego wyjdzie uformowany blok o wysokości i szerokości cegły. Mechaniczne noże tną go na pojedyncze cegły, które (także automatycznie) powędrują na elektryczne wózki i pojadą do suszarni.

Praca jest więc lekka, ale wymaga znajomości maszyny. Strycharze z Zielonki nabywają wiedzy codziennie, ale nim się „dotrą”, bezpiecznik czasem nawala...

A kiedy produkcja potoczy się gładko, bez wstrząsów? Niedługo. Nie opieramy się na oficjalnych oświadczeniach dyrektora, ale na czymś zupełnie innym...

PAN KNOTHE I DZIEŃ DZISIEJSZY

Fotoreporter, rad nierad, musi wdrapywać się ze swoją ciężką aparaturą wysoko na platformę, gdzie mieszczą się rozdzielcze tablice prądu. Nie ma rady, bo Broniak oświadczył, że nie

sfotografuje się inaczej jak przy swojej maszynie...

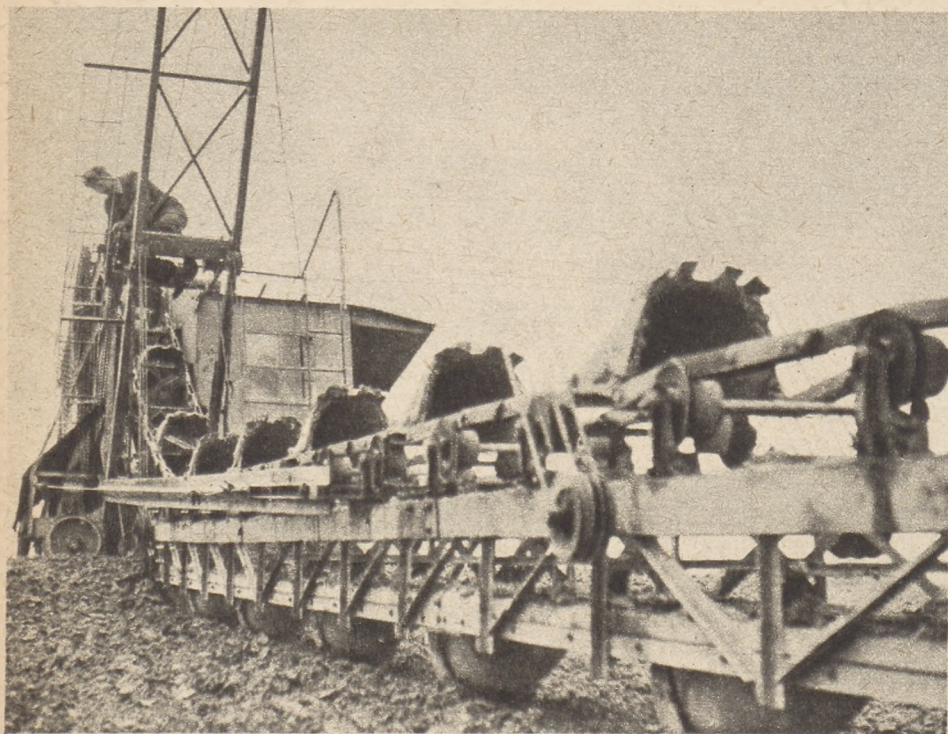
W jego przeszłości nie można się doszukać przyczyn takiej właśnie postawy. Młody w owym czasie Bolesław Broniak, rodem ze wsi Maciołki (nie-daleko Zielonki) poszedł na robotę do cegielni przed 30 laty. Stała ona mniej więcej na tym miejscu, gdzie dziś pracują mechaniczne koparki, a należała do niejakiego pana Knothe. W wodą podeszłym dole grzebało się kilkudziesięciu ludzi, podobnych do szarych robaków. Łopatami nakładali glinę do tacek. Taczki wydobywało z dołu dwóch ludzi — jeden pchał, a drugi — tak zwany „kruczek” — ciągnął je za przęzony w liny, niczym dawny burłak z nad Wołgi. Ile potu wylano, zanim glina dotarła do wyrabiaczy przed cegielnią — on o tym dobrze wie! Glinę wyrabiała już siła końska, bo ludzka nie dałaby rady. Wychudzona szkap obracała kierat, załączony do prymitywnego wyrabiacza. I znowu w ruch mięśnie

Dalszy ciąg na str. 6



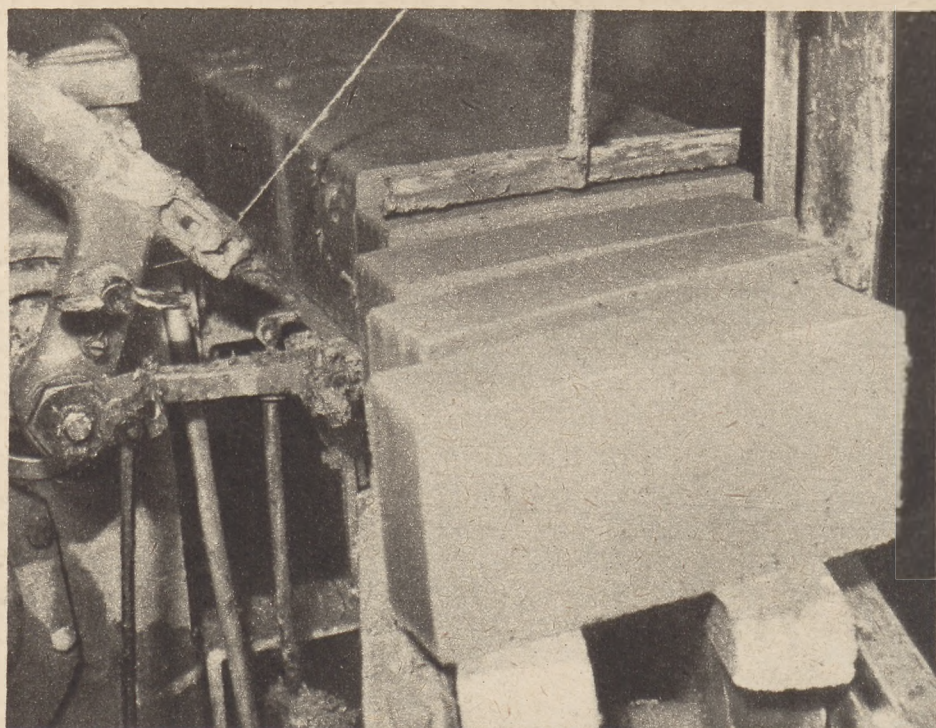
Broniak nie chciał innego zdjęcia, jak przy swojej maszynie. Po latach pracy

w prymitywnej cegielni umie ocenić postęp w socjalistycznym przemyśle.



15 m³ gliny wydobywa w ciągu godziny mechaniczna koparka, obsługiwana

przez Stanisława Komorowskiego. Z takiej porcji można wykonać 6 tys. cegieł.



Spod mechanicznych noży wychodzą gotowe bloki cegieł. Nie dotknięte ręką

człowieka powędrują do suszarni, a stamtąd do trzech olbrzymich pieców.

Dokończenie ze str. 5

ludzkie! Formiarze ręcznie uklepywali cegły, pomocnicy rozkładali je na stołach, gdzie schły przez kilka tygodni. Tyle trudu trzeba było, żeby zrobić jakieś 500 tys. cegieł rocznie („tutaj robimy tyle przez trzy dni“).

Później pan Knothe sprowadził maszynę, ale też nie było specjalnie powodu do radości. Zwolniono kilku robotników, robiono trochę więcej cegły, ale zarobki nie urosły ani o grosz...

...A więc dlaczego...?

Broniak głodzi przetłaczniaki twardą, spracowaną ręką.

— Jakby to powiedzieć... teraz to wszystko nasze... i w ogóle — człowieka cieszy, jak wszystko idzie dobrze... Czasem coś nawala, ale dotrze się...

W CZELUŚCIACH PIECA

Przestoje to rzecz wyjątkowa i coraz rzadsza. Spójrzmy na halę: elektryczne wagoniki z piramidami mokrych, świeżo uformowanych cegieł podjeżdżają do komór suszarni — których jest 99. — Wchłoną one w siebie 220 tysięcy cegieł, porcję potrzebną do załadunku jednego z trzech pieców, gdzie rozpocznie się

proces wypalania, a więc najważniejsza faza produkcyjna, decydująca o twardości i wytrzymałości cegły.

Suszarnia podgrzewana jest ciepłem odprowadzanym z tych komór piecowych, gdzie wypalona już cegła stygnie oddając miliony kalorii. A więc wytłumaczenie, dlaczego nie ma tak charakterystycznych dla dawnych cegielni kominów — większość spalin zużywana jest wewnątrz zakładu dla celów produkcyjnych.

Kilka dni suszy się cegła, zanim znajdzie się w lekko podgrzanym (około 60°C) piecu. Piec, to osobny zupełnie rozdział cegielni — wymurowane z ogniotrwałej cegły w głównej hali, tworzą oryginalny kompleks architektoniczny, podobny trochę do starych fortyfikacji. Wysokie na jakieś 2 metry, niezbyt szerokie, a długie na kilkadziesiąt metrów, podzielone są na poszczególne komory, do których prowadzą osobne wejścia.

Po załadunku komory z lekko pod-suszoną cegłą, zamurówuje się otwory boczne i piec zaczyna się nagrzewać. Gorące powietrze płynące podziemnym przewodem podnosi temperaturę do 700°, kiedy to wysycha całkowicie woda, zużyta do rozrobienia gliny. Cegły rozgrzewają się do czerwieni i teraz przez górne niewielkie otwory pieca sypie się na nie miał węglowy z transporterów.

Wnętrze pieca płonie: temperatura dochodzi do 950°, ulatnia się woda zawarta w związkach chemicznych gliny, utleniają się cząsteczki metali, cegła twardnieje — staje się materiałem budowlanym. Po wystudzeniu samochody zabiorą ją na warszawskie budowy...

DUDZIŃSKI PRZEKRACZA PRÓG.

Przy piecu pracuje niski mężczyzna o szarych oczach. Niedawno zdobył się on na czyn, który może zadziwić, jeśli się weźmie pod uwagę całą jego osobowość.

Niewielkie to było wydarzenie, przeszło niezauważone przez załogę. Otóż trzeba tutaj powiedzieć, że wożenie i wywożenie cegły do pieca, to krótkie etapy, gdzie wózek trzeba popychać ręcznie. Pracuje przy tym właśnie Maksymilian Dudziński. Ojciec jego robił w cegielni i on także, od najmłodszych lat. Poganiany przez majstrów i właścicieli brnął przez swoje ciężkie życie zahukany i zobojętniały na to, co robi i jak robi. Wiedział, że, czy to dniówka, czy akord, robotnik musi dać z siebie maksimum sił, aby utrzymać przy życiu siebie i rodzinę...

Przyszedł do cegielni w Zielonce. Rozglądał się bacznie przez tydzień, obserwował. Trudno powiedzieć, co stało się

bezpośrednią przyczyną jego rozmowy z dyrektorem; być może dopiero dzisiaj, kiedy opuścił starą cegielnię, która do końca jeszcze przypominała niedobre czasy, ten stary człowiek poczuł, że teraz jest inaczej...

Pewnego dnia zjawił się u dyrektora. Z onieśmielenia wyzwolił się z trudem dopiero kiedy zaczął opowiadać o wózku.

— Kółka przydałyby się większe — i trzeba je podsunąć do środka — wtedy najwięcej ciężaru będzie leżało na nich, lżej i prędzej się będzie jechało...

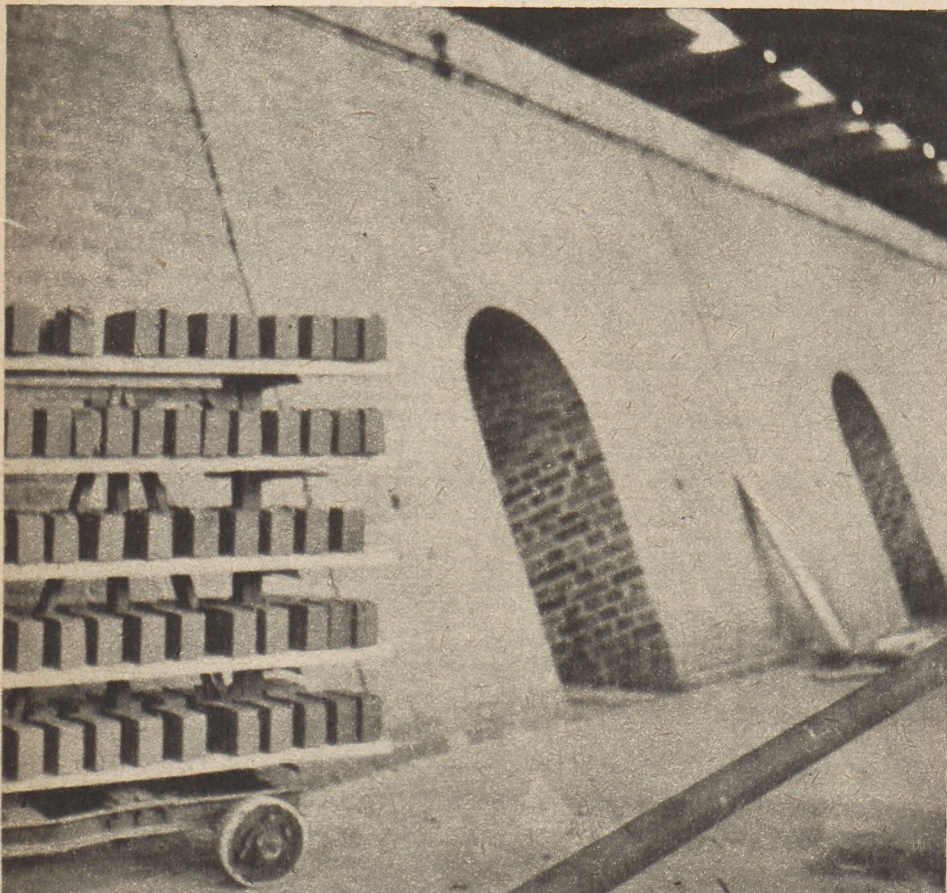
A istota rzeczy w tym, że nie chodziło tylko o ulżenie swojej pracy. Dudziński powiedział wyraźnie:

— Można by wtedy wyrobić dwieście procent normy, albo i trzysta — bo ja wiem...

Dyrektor obiecał, że o tym pomyśli. Uśmiechał się, bo na „gorącym uczynku“ racjonalizacji przysłał człowieka, który sam prawdopodobnie się nie domyślił, że wkroczył w nowy etap życia.

Niewielkie to wydarzenie, ale charakterystyczne. W ten, albo w inny sposób przekraczają próg nowego życia ludzie z Zielonki.

MIROSLAW AZEMBSKI



Każdy piec pomieści 220 tys. cegieł. Po kilku dniach wypalania nabiorą one

odpowiedniej twardości i odjadą samochodami na warszawskie budowy.



Elektryczne wózki wiozą świeżą cegłę do suszarni. Człowiek jest tylko „motorni-

czym“ takiego transportowego tramwaju — kieruje go na miejsce przeznaczenia.



KSIĄŻKA O WIELKIM BUDOWNICZYM

ZNAMY go z mądrego spojrzenia, z głęboko ludzkiego uśmiechu z gorącego słowa — a niektórzy znają go nawet z serdecznego uścisku dłoni. Znamy go z udziału w sprawach najtrudniejszych, w bohaterskich walkach, w historycznych przełomach. Po stać Bolesława Bierutę okrępiła w naszej świadomości w kształt mocny, stopiony w jedno z przeżywanym przez nas okresem polskich dziejów. Ale że całe dziesięciolecie jego życia spowiła noc konspiracji, że dopiero krótkie lata prawdziwej niepodległości odsłoniły przed narodem ową postać niezłomnego bojownika — przeto brak nam było pełnego obrazu jego życia, brak ciągłości wiążącej w jedność znane nam fragmenty jego walki.

Wypełnia tę lukę książka Józefa Kowalczyka o życiu Bolesława Bierutę.*) Jest to życie, w którym świadomość zrodziła się wcześniej, jak zwykle u dzieci z klas uciskanych. Książka pokazuje, jak z rozwojem człowieka wzrastała świadomość, jak przekształciła się w postawę walczącą, jak od strajku szkolnego w 1905 roku, poprzez udział w stowarzyszeniach młodzieżowych i spółdzielczych, działalność komunisty w Zagłębiu, Łodzi i Warszawie, lata więzień i zmagania z reakcją, poprzez zażarty bój z okupantem, wyrosła postać na miarę niecodzienną, zdolna udźwignąć zaszczytny lecz ciężki trud przewodniczenia narodowi budującemu socjalizm. Owo położenie nacisku na świadomą postawę człowieka walki jest charakterystyczną cechą książki.

Ukazując życie Bolesława Bierutę na tle historii ruchu robotniczego, na tle historii walk narodu polskiego o wyzwolenie społeczne i narodowe — książka udowadnia, że wybitna jednostka jest twórczą siłą w społeczeństwie wtedy, gdy wyraża pragnienia i dążenia szerokich mas ludowych, gdy idzie z nurtem społecznego postępu. Przykładem takiej właśnie wybitnej jednostki jest Prezydent Polski Ludowej.

Przemawia do nas z kart książki człowiek, który od wczesnej młodości wchłaniał w siebie najważniejsze sprawy narodu z taką siłą, że stają się one jego życiem osobistym. Bolesław Bierut to prawdziwy człowiek epoki socjalizmu, to symbol wspaniałego zwycięstwa tych idei, które służą ludzkości na drodze do obalenia wrogich sił wyzysku, niewoli i wojny.

Studiując życiorys Bolesława Bierutę, poznajemy człowieka walki i trudu, któremu żadna sprawa ludzka nie jest obca ni obojętna, który wie co to ból, co to radość i uśmiech. Ową chłopaka, co przed pół wiekiem z górą spracowanym kobietom wodę nosić pomagał i dzisiejszy wielki budowniczy Polski Ludowej, uczeń Lenina i Stalina, natchniony w swej pracy przykładem i pomocą Kraju Socjalizmu — to prawdziwy Człowiek naszej epoki.

*) Bolesław Bierut — Życie i działalność. Opracował Józef Kowalczyk. Warszawa 1952. Książka i Wiedza.

WYSTAWA „X-LECIE PPR”



Przed 10 laty wyruszyli w pole pierwsze oddziały Gwardii Ludowej. Dziś młodzież ogląda na wystawie broń, zdobywaną przez bohaterskich gwardzistów na hitlerowskich okupantach.



Przed obrazem „Powstańcy 1863 r.” w sali pierwszej. W sali tej zebrane są materiały o postępowych i rewolucyjnych tradycjach, o wolnościowych walkach naszego narodu.

BROSZURY, ulotki, odezwy, nawołujące do walki z okupantem. Broń zdobyta na hitlerowskich żoldakach i używana przez bojowników GL w walce o Polskę. Czcionki, którymi drukowano pierwsze numery „Trybuny Wolności”. Fałszywe dokumenty, „kenn-karta”, z którą ukrywał się w okupowanej Warszawie towarzysz „Tomasz” — Bolesław Bierut. Dziesiątki historycznych dokumentów i eksponatów, setki zdjęć, obrazy, rzeźby, wykresy, mapy...

Imponująco przedstawia się wystawa „X-lecie PPR” otwarta w Warszawie w dawnym Pałacu Radziwiłłowskim. W dziesięciu wielkich salach zgromadzone są niezwykle bogate materiały o bohaterskich dziejach Polskiej Partii Robotniczej, o walce naszego narodu o wyzwolenie społeczne i narodowe.

Wystawa jest zasadniczo poświęcona Polskiej Partii Robotniczej. Jednak dzieje PPR były kontynuacją wielu dziesięcioleci zmagania naszego narodu z uciskiem i niesprawiedliwością społeczną. Z walki PPR wyrosły nasze osiągnięcia dokonane już pod kierunkiem PZPR. Dlatego zasadniczą część wystawy, obejmująca lata działalności PPR: 1942 — 1948, wzbogacona jest o materiały dotyczące zarówno okresu wcześniejszego, jak i lat ostatnich, do kwietnia 1952 roku włącznie.

Tak więc w pierwszej sali znajdujemy dokumenty z okresu Wiosny Ludów, czytamy o bohaterach Komuny Paryskiej. Bogate materiały przypominają nam działalność SDKPiL i KPP, postacie Dzierżyńskiego, Marchlewskiego, Buczka. Szczegółowo, przy pomocy cyfr i dokumentów, pokazany jest okres terroru sanacyjnego oraz źródła słabości ówczesnej Polski, słabości, która ujawniła się w pełni w tragicznym wrześniu 1939 r.

Materiały z okresu okupacji hitlerowskiej pomagają nam pojąć, jak ogromne zadania już wtedy wzięła na siebie PPR, jedyna w tym czasie siła walcząca w kraju konsekwentnie z okupantem. Obok dokumentów obrazujących bohaterstwo bojowników GL i AL, znajdujemy i inne: świadectwa zdrady narodowej zbirów z NSZ, dokumenty ujawniające współpracę „delegatury” londyńskiej z gestapo.

Zdjęcia, dokumenty, mapy i wykresy — uzupełnione są filmami dokumentalnymi. Oto na ekranie widzimy przełomowy moment wojny — ofensywę radziecką pod Stalingradem. W sąsiedniej sali — dokumenty: słowa Stalina o odbudowie Polski silnej, niezawisłej...

Bogato reprezentowane są na wystawie materiały dotyczące roli Bolesława Bierutę w odbudowie ludowego państwa. Jego udział w kierownictwie PPR, Krajowa Rada Narodowa, pierwsze dni władzy ludowej, referendum, wybory... Trudno w największym nawet skrócie scharakteryzować bogactwo materiałów wystawy, mówiących o doniosłych dla naszego narodu reformach społecznych, o planie trzyletnim i odbudowie i zagospodarowaniu Ziemi Zachodnich.

Ostatnie trzy sale mówią o trzech najważniejszych dziś dla nas sprawach: Planie 6-letnim, walce o pokój, o projekcie Konstytucji. W ostatniej sali dwie skromne gabloty: kilkanaście listów do Prezydenta, kilkanaście z dziesiątków tysięcy nadesłanych niedawno. „Dziękuję Ci Prezydencie, że dzięki Tobie i władzy ludowej umiem czytać i żyję teraz inaczej...” „Zobowiązujemy się, Towarzyszu Prezydencie, zwiększyć produkcję naszego zakładu...”

I chyba słusznie tak jest, że wystawę „X-lecie PPR” otwierają portrety i pisma Frycza-Modrzewskiego, Kościuszki, Mickiewicza, a zamykają listy prostych ludzi, którym władza ludowa stworzyła nowe życie.

E. KARŁOWICZ



Zwiedzający wystawę w skupieniu oglądają dokumenty, którymi posługiwał się w okupowanej Warszawie w r. 1943 towarzysz „Tomasz” — Bolesław Bierut.

MELINA w M.

Prawie opowiadanie

PEWNEGO wiosennego dnia usłyszałem przez radio wiadomość związaną z miejscowością w której kilkakrotnie byłem, której mieszkańców i gości oglądałem z bliska, z obowiązku — jak się to mówi — dziennikarskiego. Nieraz słyszę przez radio nazwy miejscowości, które widziałem w czasie korespondenckiej włóczęgi, nic zatem w samym tym fakcie nie było nadzwyczajnego, gdyby nie dzień, szczególny dzień, w którym wyjątkowo nie spodziewałem się usłyszeć wieści stamtąd. Ale skoro już nadeszła, skoro zbiegła się z wieloma prawie jednobrzmiącymi tego dnia wieściami z całego świata, skoro stanowiła w chórze wiadomości tego dnia szczególnie zgrzytliwy dysonans — pomyślałem przez chwilę, że warto to opisać. Wybrałem zaś formę opisu taką, która pozwala na powiedzenie więcej, niż w kronikarskim sprawozdaniu, formę reporterskiej nowelki.

Dlaczego? Po prostu znajomość faktów, terenu i osób dramatu oraz odrobina wyobraźni zmuszają mnie do gadatliwości; proszę więc, posłuchajcie.

II

Za siedmioma lasami, za Siedmioma Górami, tam, gdzie pod głazem z granitu spoczywa ostatni Rycerz Smoczej Skały, nad wielką, piękną, szeroką rzeką jest wioska, a w niej wśród domków winogrodników bez trudu odnaleźć można dom szczególnie okazały w pięknym ogrodzie, otoczony wysokim murem. Za nim, ku bazaltowym ścianom Smoczej Skały wspinają się w górę krzewiaste winne latorośle.

Po drugiej stronie szerokiej rzeki, nieco na ukos w kierunku północnym, rozsiadło się miasteczko, dość znane jako klimatyczne uzdrowisko, a w przewodnikach po kraju zachwalane jako „szczególnie przyjemne, bo wolne od wiatrów wschodnich“.

Kraj zwie się Nadrenia, Siedem Gór — Siebengebirge, Smocza Skała — Drachenfels, wioska — Rhoendorf, a uzdrowisko — Mehlem. W bogatym domu ubogiej wioski, nic nie mającym wspólnego z troskami nadreńskich winogrodników, mieszka od dziesięciu lat wielki pan od wielkich banków i wielkiego przemysłu, przez pochlebców na-

zywany „ostatnim burgrabią nadreńskim“, siedemdziesięciokilkuletni Herr Konrad Adenauer. Był on kiedyś burmistrzem Kolonii i prezydentem pruskiej rady państwa, jako reprezentant jednego z najpotężniejszych banków Rzeszy — „Niemieckiego Banku“. Miał wówczas mieszkanie i w Kolonii i w Berlinie, ale najchętniej przebywał w swym domu pod Smoczą Skałą. Po II wojnie światowej, kiedy stary lis zwierzył w amerykańskiej polityce podziału Niemiec wielką dla swych bankiersko-przemysłowych interesów koniunkturę, właśnie stąd, z Rhoendorf, począł z uporem wygrywać starą separatystyczną kartę, starą, bo już po I wojnie światowej wypowiadał się za odłączeniem Nadrenii i Westfalii od Niemiec.

Kiedy tą kartą wygrał z pomocą swych watykańskich i waszyngtońskich protektorów „kanclerstwo“ Trizonii, wówczas uparł się, aby „stolica“ Trizonii była blisko jego siedziby. Spór, który z tego powodu powstał, przesądził na swoją stronę naciskiem pomocnych krewniaków: szwagra, o którym jeszcze będzie mowa, i powinowatego w purpurze, arcybiskupa Kolonii, kardynała Fringsa, a tam, gdzie nacisk ten nie docierał, przevorsował swoje milionem marek, rozdzielonym między potrzebujących pieniędzy posłów „opozycji“. Dość, że po kilku miesiącach szumnych protestów stanęło jednak na tym, że odległe o 10 km od Rhoendorf uniwersyteckie miasteczko Bonn stało się nie spodziewanie „stolicą“ zachodnich Niemiec.

Kiedy to nastąpiło, wówczas suchy jak szczapa, drobny, szczupły, o woskowej cerze „kanclerz“ bońskiego państwa osadził po drugiej stronie rzeki, właśnie w owym uzdrowisku klimatycznym „wolnym od wiatru ze wschodu“ swego szwagra, z którym odłód wspólnie zarządza krajem. Nocą gdyby zaszła po temu potrzeba, szwagrowie z domów swych, rozdzielonych rzeką, światłami dawać mogą sobie znaki. Szwagier jest podobnie jak „kanclerz“ związany małżeństwem „morganatycznym“ (w danym wypadku przymiotnik od banku Morgana, o czym dalej) z rodziną Zinsser znaną wśród bogaczy z przemysłu chemicznego, który od dawien dawna związany jest z kolei ze znanym w USA i świecie bankiem Morgana. Przed trzydziestu blisko laty jedna z Zinsserówien wyszła za mąż za bogatego Niemca z „Deutsche Bank“, Konrada Adenauera, druga za bogatego Amerykanina z „Mutual Life Insurance Co“ (ubezpieczenia na życie), niejakiego Lewisa W. Douglasa, trzecia zaś za niejakiego Johna McCloya, który zrobił wielką fortunę na goleniu się ludzi nożkami firmy „Gillette“. Nie trzeba dodawać, że trzej szwagrowie, podobnie jak ich żony i firmy, które reprezentowali, przez całe swe życie najściślej byli związani z bankiem Morgana. Dla całej rodziny wielkie dni nadejść miały jednak dopiero po II wojnie światowej, kiedy wszyscy trzej szwagrowie spotkali się nie przypadkowo w Europie. Mr. Douglas został ambasadorem USA w Londynie, Mr. McCloy — Wysokim Komisarzem USA w Niemczech, a Herr Adenauer — „kanclerzem“ USA w bońskim państwie. Teraz rodzinie przypadło w udziale ubicie najgrubszego interesu, jaki kiedykolwiek szwagrowie mieli możliwość realizować.

Twarde prawo kapitalizmu uczy, że największe zyski dają przygotowania wojenne i sama wojna. Miliardy, których wymaga zbrojeniowe szaleństwo, płacą narody, ale zyski wpływają tylko do kieszeni sprytnych kapitalistów.

Do rozpoczęcia (kosztownych dla mas, a zyskowych dla wybranych) przygotowań wojennych potrzeba było — jak to kiedyś określił Goebbels — „dobrej przyczyny“. Choć wielu uważało się za autorów idei podziału Niemiec i stworzenia „bońskiego państwa“ — między nimi był samobójca norymberski Herman Goering i samobójca waszyngtoński James Forrestal — to jednak



„Do drzwi wyszedł gospodarz, lśniąco gładko ogolony, jak z reklamy swej firmy, krępy, ze skłonnością do tycia, i witał serdecznie swego szwagra...“

najbardziej zajadłym rzecznikiem i realizatorem tej idei był od lat szwagier McCloya i Douglasa, zięć starego Zinssera, Konrad Adenauer, reprezentant imperialistów niemieckich, stawiających na sojusz z imperialistami amerykańskimi. Przez powinowatego kardynała Fringsa miał przy tym pełne błogosławieństwo Watykanu, a zatem spokój katolickiego sumienia zapewniony, przez swych szwagrowów zaś miał pełne poparcie amerykańskich imperialistów, a zatem ochronę militarną na ziemi równie pewną, jak żywot wieczny w niebie. Ta ochrona militarna była i jest najważniejsza, bo bez obecności wojsk amerykańskich nad Renem, „kanclerstwo“ Mr. Adenauera nie trwałoby 24 godzin. Pierwszym zatem krokiem musiało być utrwalenie przez rząd boński okupacji amerykańskiej w Niemczech zachodnich. Zgodność interesów imperialistów amerykańskich i niemieckich była tu całkowita. Jednym chodzi bowiem o posiadanie w sercu Europy bazy wojennej, drugim o bezpieczny wyzysk własnego narodu i perspektywę nowego „Drang nach Osten“.

W samej zresztą koncepcji podziału Niemiec, utrwalenia okupacji amerykańskiej i uczynienia z Niemiec zachodnich kolonią dwóch sojuszników imperializmów — amerykańskiego i niemieckiego, tkwił jak jądro w atomie wielki dla obu stron interes przygotowywania nowej wojny, a więc miliardowych zbrojeń i miliardowych zysków.

W cztery lata po straszliwej wojnie światowej udało się stworzyć bońskie państwo i zapewnić w nim rządy amerykańskim i niemieckim imperialistom. W dwa lata później można było przejść do „prawnego“ uświęcenia wspólnej po-

„Wielki pan od wielkich banków i wielkiego przemysłu, przez pochlebców nazywany „ostatnim burgrabią nadreńskim“, Herr Konrad Adenauer...“



„Wygrał z pomocą swych watykańskich protektorów „kanclerstwo“ Trizonii...“

lityki formalnym układem, który ma utrwalić przygotowania wojenne, no i co za tym idzie, torować drogę nowej wojnie. Ludzie odpowiedzialni za całą tę politykę w Waszyngtonie, Londynie, Paryżu i Bonn powierzyli sformułowanie oficjalnego układu dwu najbardziej do tego powołanym, wypróbowanym już dobrze mężom stanu, a zarazem mężom dwóch Zinsserów: Johnowi McCloyowi i Konradowi Adenauerowi. Formalnie w skład komitetu redakcyjnego weszli jeszcze: Wysoki Komisarz W. Brytanii, Sir Ivon Kirkpatrick i Wysoki Komisarz Francji, Francois Poncet, ale ich rola z góry była przesądzona: mieli bronić interesów swych dwóch podopiecznych mocno imperiów przed zbytnią zachłannością amerykańsko-niemiecką.

Na melinę, w której spiszek przeciwko pokojowi świata miał otrzymać formę oficjalnego dokumentu, wybrano „wolni od wiatrów ze wschodu” dom McCloya w Mehlem, położony naprzeciw Smoczej Skały, pod którą usadowił się przed laty były prezydent (z ramienia „Deutsche Bank” sfilowanego z bankiem Morgana) pruskiej rady państwa. Między szwagrami różnic zasadniczych co do treści układu nie było. Jeśli jednak mimo to każdy punkt „układu ogólnego” (taką nadano mu oficjalną nazwę) trzeba było wielokrotnie dyskutować, a formuły już gotowe na nowo

Dwudzieste piąte posiedzenie komisji mehlemskiej zostało więc natychmiast wyznaczone na dzień następny.

III

Otóż tego dnia boński „kanclerz” wyjechał z Rheindorf do Mehlem już o 9 rano. Czarna opancerzona limuzyna pomknęła w stronę Bonn, po trzech kilometrach zwolniła, skręciła nad rzekę do promu i przeprawiona na drugi brzeg zawróciła w stronę Koblenji. Po kilku minutach wóz zatrzymał się przed domem Wysokiego Komisarza USA. W czasie tej krótkiej jazdy co kilkadziesiąt metrów salutowali granatowi policjanci, a na opustoszałych ulicach nieliczni cywile udana obojętnością i krokiem wojskowym zradzali swą przynależność do strażników bońskiego ładu. Dopiero przed domem szwagra zobaczył Adenauer ruch większy, choć również wszystkie jego elementy należały do straży (ściśle — do głównej straży) bońskiego porządku. Amerykańscy żandarmi w białych hełmach, białych pasach, białych rękawiczkach i białych getrach, kontrastujących z oliwkowo-cytrynową barwą mundurów, przeżyli się już na baczność i prezentowali broń przed bogatym niemieckim zięciem bogatego Zinssera.

Adenauer uchylił kapelusza i wszedł na ganek. Do drzwi wyszedł gospodarz,

Jowialnie nastrojony McCloy wtrącił z uśmiechem: — „Generalkriegsvertrag”... (generalny układ wojenny).

Francois Poncet rozemślał się hałaśliwie na znak aprobaty dla cynicznego dowcipu. Sir Ivon Kirkpatrick skrzywił się niechętnie słysząc, że nazywają rzeczy po imieniu.

Adenauer tymczasem spokojnie ciągnął dalej, podsumowując osiągnięte już porozumienie co do pewnych punktów układu i typując punkty, które w dniu dzisiejszym trzeba będzie rozpracować.

Była to narada wstępna. Na godzinę 10 wyznaczono spotkanie całego sztabu fachowców niemieckich, amerykańskich, brytyjskich i francuskich, których zadaniem było uwzględnianie formuł i przedstawianie do ostatecznego rozstrzygnięcia czterem starszym panom.

Główne tezy wojennego układu ogólnego, którego celem było niedopuszczenie do traktatu pokojowego z Niemcami proponowanego przez Związek Radziecki, były następujące:

Rząd boński, uznany przez mocarstwa zachodnie jako jedyne przedstawicielstwo narodu niemieckiego, prawem kaduka w imieniu tego narodu zobowiązuje się na lat pięćdziesiąt postawić do dyspozycji amerykańskiej „wspólnoty europejskiej” cały potencjał gospodarczy i materiał ludzki Niemiec zachodnich, jak również całe podległe bońskiemu rządowi zachodnie terytorium Niemiec.

Praktycznie oznacza to, że na terytorium zachodnich Niemiec wojska amerykańskie posiadać będą na stałe swe bazy wojenne. Przemysł niemiecki pracować będzie dla celów zbrojeniowych „wspólnoty europejskiej”, a naród niemiecki, prócz siły roboczej, będzie dostarczał jeszcze żołnierzy do „armii europejskiej”, równie jak „wspólnota europejska” kierowanej przez amerykańskich i niemieckich fałszywów. Oczywiście podstawą traktatu jest utrzymanie podziału Niemiec, a tym samym groźby wojny w Europie.

Trudność główna, i o tym mówił teraz Adenauer, polega na utrzymaniu za wszelką cenę podziału Niemiec. Przeciwno projektowi traktatu wojennego, preparowanego w mehlemskiej melinie, zdobył sobie ogromną większość narodu radziecki projekt pokojowego traktatu z Niemcami. Nawet w bońskiej koalicji rządowej powstały tarcia na tym tle, choć z nimi da sobie radę, ale tu trzeba działać szybko, bardzo szybko, aby stworzyć fakt dokonany.

Ostatnim słowem przytaknął skwapliwie pogodnie usposobiony tego dnia drugi z zięciów bogatego Zinssera. Monsieur Poncet i mister Kirkpatrick przez sekundę przypomniał sobie, jak asystowali kiedyś w tym samym kraju przy polityce faktów dokonanych, ale nie sprzeciwili się wywodom przedmówców. Nie mieli zresztą okazji, bo McCloy mówił teraz bez przerwy, opowiadając o nowej próbie z bombą atomową właśnie dziś przeprowadzanej w USA, w stanie Nevada. „Ten dzień został specjalnie wybrany...”

IV

O godzinie 10 przeszli czterej spiskowcy do sali konferencyjnej, gdzie już zebrały się sztaby polityczne. Brakowało tylko prof. Hallsteina, podsekretarza stanu w mln. spraw zagranicznych bońskiego rządu.

— Nie zdążył wrócić z Uralu... — mruknął ktoś spośród brytyjskiej delegacji.

Obaj szwagrowie szybko zmienili temat rozmowy, a Sir Ivon Kirkpatrick zgromił śmiałka oczami. Miał kilka zleceń z Londynu, które chciał dziś „przeforsować”, nie na rękę więc mu było podsyłanie starych antagonizmów. Tym bardziej, że o ten nieszczęsny Ural Hallsteina Adenauer miał do niego największe pretensje. Kiedy bowiem Hallstein będąc w Ameryce wygłosił mowę, że celem zbrojnej „wspólnoty europejskiej” jest „zjednoczenie Europy po Ural” i w całym świecie zrobił się krzyk na tak jawnie hitlerowskie plany amerykańsko-niemieckich imperialistów, Adenauer, a za nim Hallstein zaprzeczyli, aby gdziekolwiek, kiedykolwiek słowa takie padły. Ale wówczas radio brytyjskie nadało nagraną

na taśmie mowę Hallsteina i zdementowało z kolei Adenauera. Politycy w Londynie sądzili, że osłabią tym pozycję bońskiego „kanclerza” w twardej rozgrywce o tytuł pierwszego sojusznika USA. W rzeczywistości osłabili tylko pozycję Kirkpatricka w stosunkach z dwoma szwagrami.

Prof. Hallstein przyjechał dopiero w czasie przerwy obiadowej. Był u swego przyjaciela w jednym z westfalskich majątków i musiał wiele drogi nakładać, by omijać liczne miasta, w których tego dnia ruch był utrudniony. Widział niewiele, ale i to było wystarczająco nieprzyjemne.

Pod koniec obiadu ktoś nastawił radio. Speaker amerykański z pośpiechem wyrzucał wiadomości.

W Tokio rozruchy. Pobito oficerów amerykańskich, palono auta amerykańskie. Jest kilkadziesiąt zabitych, kilkuset rannych. Rozruchy trwają...

Do starć z policją doszło w Hamburgu, Berlinie zachodnim, Dortmundzie, Duisburgu, Monachium...

We Włoszech cały ruch kołowy zamarł, wszystkie fabryki nieczynne...

W Meksyku obrzymia demonstracja, starcia z policją...

W Paryżu, Marsylii...

W Barcelonie rozrzucono tysiące ulotek...

W Moskwie defilada wojskowa przed Generallissimusem Stalinem...

W Berlinie wschodnim Prezydent Pieck zapowiedział, że jeśli wojenny układ generalny wbrew woli narodu zostanie wprowadzony w życie, NRD powoła własne obronne siły zbrojne...

Obaj szwagrowie zasępił się. Nie uśmiechnęli się nawet, gdy na samym końcu speaker pośpiesznie rzucił ostatnią wiadomość o udanej próbie z bombą atomową, przeprowadzonej dziś rano w stanie Nevada, USA.

— Do roboty! — powiedział Mr. McCloy, wstając pierwszy od stołu.

— Trzeba się spieszyć...

— Trzeba się spieszyć — powtórzył jak echo szwagier.

Tego dnia do późna w nocy pracowali ciężko szwagrowie, pracowali ciężko ich pomocnicy i pracowała ciężko ich policja. Do późna w nocy paliły się światła w melinie w Mehlem.

V

Tego dnia w Warszawie, w Moskwie, wschodnim Berlinie, Pradze, Tiranie, Budapeszcie do późna w nocy tańczyli na ulicach ludzie wolni, ludzie miłujący pokój, ludzie radujący się swoją pracą.

Tego dnia w Berlinie zachodnim, w Tokio, Paryżu, Rzymie, Meksyku, Barcelonie, Marsylii, Hamburgu, Dortmundzie, Duisburgu, Monachium do późna w nocy pracowała policja, a ludzie walczący o pokój i pokojową pracę zaciśkali pięści, a wzmocnieni stoczoną walką rozważali plany działania na dni następne.

Był to dzień 1 maja 1952 roku.



...Jak zawsze rozpromieniony Francois Poncet, którego czerwoną twarz z białymi, grubymi wąsami lubił bardzo Hitler,

gdy obecny Wysoki Komisarz Francji był w okresie monachijskim ambasadorem III Republiki w III Rzeszy...

przerabiał, to wpłynęła na to w małym stopniu obecność dwóch wspomnianych kibiców dwóch ginących imperiów, na których kulawe interesy mieć trzeba było pewien wzgląd, natomiast w daleko większym stopniu wpłynęła niespodziewanie wielka obecność mas pracujących Europy, które nieskoro się okazały do spokojnego przyjęcia sobiepańskiego układu o utrwaleniu groźby nowej wojny w Europie. Niektóre sprzeczne interesy brytyjskich lordów i francuskich baronów węgla i stali z niektórymi interesami amerykańsko-niemieckich imperialistów były w gruncie rzeczy orzeszkiem laskowym w porównaniu z narastającym z dnia na dzień protestem mas pracujących przeciwko „ogólnemu wojennemu układowi”.

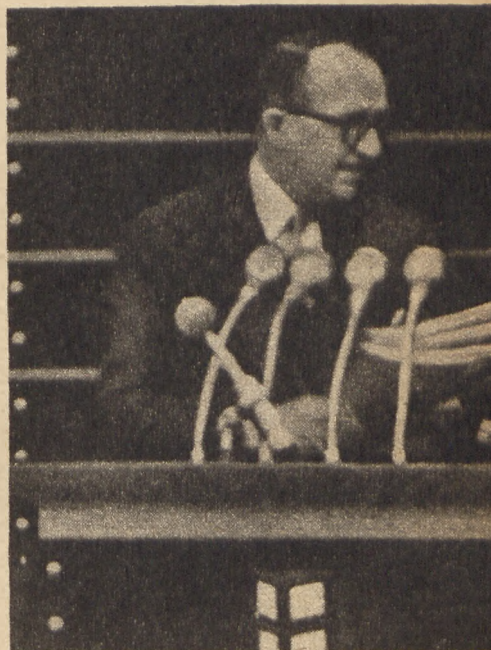
Tak więc w sumie i wewnętrzne targi i niepokojący nakaz zamaskowania jak najbardziej wojennej treści układu w naiwnej nadziei oszukania protestujących, spowodowały, że w melinie w Mehlem — mimo niecierpliwości Waszyngtonu — przez wiele tygodni obradowali dwaj pewni siebie szwagrowie McCloy i Adenauer oraz dwaj niezbyt pewni swych imperiów panowie Kirkpatrick i Poncet, a układ wciąż nie był gotów. Wtedy z Waszyngtonu nadeszło polecenie, aby przed końcem maja za wszelką cenę układ był sfinalizowany, inaczej Kongres, który kończy właśnie swą kadencję, nie zdąży przeprowadzić przed wyborami ratyfikacji. Odwleczenie zaś ratyfikacji oznacza odwleczenie realizacji wielkiego planu wielkich zysków z przygotowań wojennych w sercu Europy. Spieszno jest panom w Waszyngtonie, przyspieszyć więc mają swą pracę panowie w Mehlem.

lśniący gładko ogolony, jak z reklamy swej firmy, krępy, ze skłonnością do tyścia i witał serdecznie swego szwagra.

W gabinecie był już jak zawsze rozpromieniony Francois Poncet, którego czerwoną twarz z białymi grubymi wąsami lubił bardzo Hitler, gdy obecny Wysoki Komisarz Francji był w okresie monachijskim ambasadorem III Republiki w III Rzeszy. Przesadnie jak zawsze ubrany, pachnący wodą kwiato- wą Poncet, przybył nieco wcześniej, pragnąc pod nieobecność brytyjskiego kolegi uzgodnić z głównymi partnerami pewien, korzystny dla francuskiej finansjery, niekorzystny dla angielskich bankierów, punkcik w układzie, obiecując w zamian swe poparcie w którymś ze sporów amerykańsko-niemieckich z brytyjskimi pretensjami. Szwagrowie porozumieli się oczami, milcząco skłonili głowy na znak zgody, a oto z królewską punktualnością — zegar wybijał pół do dziesiątej — wszedł wysoki, szczupły Sir Ivon Kirkpatrick, równie nienagannie ubrany, jak punktualny.

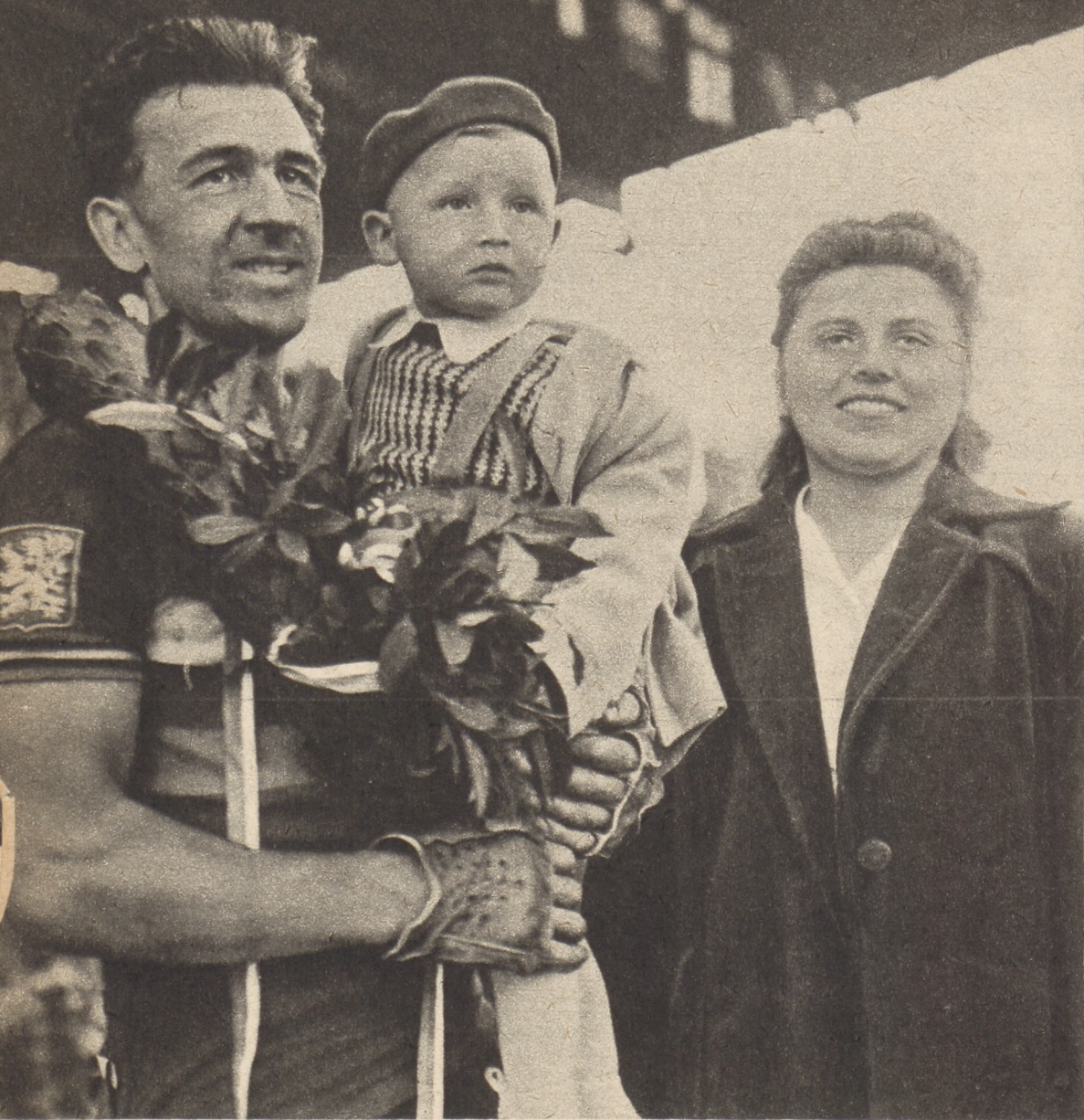
Czterej starsi panowie, liczący w sumie z górą 250 lat, zasiedli wygodnie w fotelach, przewodnictwo w dniu dzisiejszym oddając najstarszemu latami Adenauerowi. Rozmowa potoczyła się w języku niemieckim, ponieważ język ten wszystkim był dobrze znany. Francois Poncet znał go jeszcze z gimnazjum, które kończył w Offenburg za czasów Bismarcka, McCloy poprzez żonę, Kirkpatrick z czasów, gdy był I sekretarzem ambasady brytyjskiej w III Rzeszy.

— Nasz układ ogólny — rozpoczął Adenauer. — Unser Generalvertrag...



...Wówczas radio brytyjskie nadało nagraną na taśmie mowę Hallsteina...

WOLNE



Zwycięzca ostatniego etapu Wyścigu Pokoju Warszawa — Berlin — Praga, Skorzeza, po owa-
cyjnym powitaniu zgotowanym mu przez rodaków, przyjmuje „gratulacje” od swego syna.

Od specjalnego wysłannika „Świata”.

SZOSY, którymi jechaliśmy, były drogami wolności i pokoju. W Polsce, w NRD, w Czechosłowacji, miliony ludzi manifestowały na rzecz przyjaźni narodów.

Nad stadionami Warszawy, Berlina i Pragi szumiały sztandary i leciały białe gołębie. V Wyścig Pokoju, Warszawa — Berlin — Praga, był wielką symfonią wolnych dróg.

Na ostatnim etapie myśleliśmy o przebytej trasie, o wspólnej woli tych wszystkich, którzy nas

witali, o wysiłku kolarzy jadących w zwartej grupie w kierunku Benesova.

Pozostało w pamięci wiele, bardzo wiele. Oto w świetle reflektorów wyrasta pomnik Treptow, monumentalny pomnik żołnierzy radzieckich, poległych w walkach o Berlin.

Oto mozaika z mauzoleum u stóp pomnika. U węzłowia poległych przyklekają ich towarzysze, stoją żony i matki. Ich oczy, pełne gniewu i żalu, błyszczą w łunie pożaru.

Ci, którzy polegli, przynieśli wolność ludziom, witającym Wielki Wyścig. Ci którzy żyją, walczą dalej.

Na ostatnim etapie Budziejowice — Praga, właśnie wtedy, kiedy mijamy piękne bloki mieszkalne dla załóg robotniczych, dowiadujemy się o krwawej napaści policji Adenauera na młodzież niemiecką w Essen.

Przedstawicielka tej młodzieży, która protestowała przeciwko wojennemu układowi ogólnemu, jedzie w naszym wozie.

Wzruszona, uśmiecha się do oklaskujących Wyścig tłumów. Ten sam wzruszony uśmiech maluje się na twarzy wszystkich, którzy przyjechali zza dolarowej kurtyny, ze świata wojny i śmierci.

Tak ludzie walczący o pokój uśmiechają się do przyszłości. Często kładą wtedy dłoń na głowce swego dziecka. Rodzice z Essen i kolarz czeski Skorzeza, który po zwycięstwie w Pradze bierze w ramiona swoją córeczkę w czerwonym paltociuku, rozumieją się dobrze.

Miliony ludzi, wyrażają we wszystkich językach świata wspólne umiłowanie pokoju i wolności.

ZA PRZYKŁADEM WARSZAWY

Po Elbie płynęły białe statki. Na przeciwnym, stromym brzegu był las. Niżej — brzozy i wierzy, wyżej — sosny. Siedzieliśmy po kolejnym etapie na jakiejś ławce nad rzeką. Na mecie pierwszy był tego dnia Stablewski, rozmawialiśmy z nim po polsku i po francusku, później telefonowaliśmy do redakcji. Trzeba było b. długo czekać na połączenie, słyszalność była kiepska, rycieliśmy nasze raporty tak głośno, że zmęczeniśmy się jak przy kopaniu kilkumetrowego rowu.

Siedzieliśmy w milczeniu, patrzyliśmy na zachód słońca, na rude fale, na sztandary wielu państw, powiewające na wysokich, białych masztach.

Wtedy właśnie podszedł do nas murarz z Lipska, Peter. Mówił nam, że murarstwo to piękny zawód, zawód pokoju. Peter

lubi swoją pracę, opowiada o niej, gestykulując wielkimi, robotniczymi dłońmi.

— Widzieliście jak budujemy nowy Berlin? To za przykładem i wzorem Warszawy!

Peter odchodzi w kierunku miasta, jeszcze raz przystaje, odwraca się, woła: „Freundschaft”!

Przyjaźń! Słowo to unosiło się nad całą wielką trasą Wyścigu: w tłumach obok szosy i w grupach kolarzy walczących o zwycięstwo swych zespołów.

Gdzie to było? W Chorzowie? W Chemnitz? A może w Trebon, w Czechosłowacji?

Drzwi fryzjersi otwierają się nagle i wypada z nich jakiś niemłody już człowiek z namydloną twarzą.

Macha rękami — najpierw rozpaczliwie, bo nie zdążył, później radośnie: witając kolarzy. Za nim biegą fryzjerzy z rozwianymi połam białych fartuchów. Stają za brodatym staruszką z fajką, tuż obok grupy robotników w niebieskich kombinezonach. Dzieci poruszają chorągiewkami, wołają, uśmiechają się. Każdy wóz zablokowany w bocznej ulicy staje się zaimprovizowaną trybuną. Siostry Czerwonego Krzyża stoją obok orkiestry odświętnej i mosiężnej.

NA WIRAZACH I ZJAZDACH

Miasta, wsie, pola, żółte plamy rzepaku, bzy i kasztany; nowe, wielkie budowle i stare, piękne baszty — wszystko należy do tego niezapomnianego nastroju wolnych dróg.

Na wirazach, wzniesieniach i zjazdach, mijają się grupy ko-

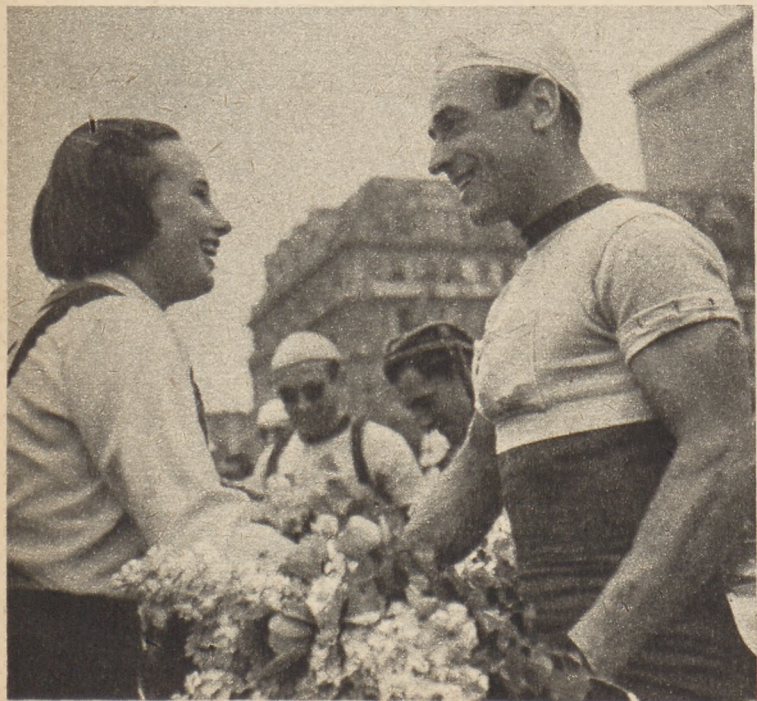
Uśmiech, kwiaty i serdeczne słowa uznania dla Klubińskiego.

Młodzież niemiecka bardzo serdecznie witała naszych kolarzy.

Uczniowie szkół niemieckich pozdrawiają kolarzy chorągiew-

kami: na polskich słowo „pokój”, na czeskosłowackich — „mír”.

Piękne widoki oglądali kolarze na trasie. Piękna jest po-



DROGI

larzy, ktoś zostaje w tyle, ktoś próbuje zrywu.

Zasadnicza grupa zawodników jest czymś w rodzaju walca, toczącego się po szosie z równomierną szybkością. Jedzie zwarła, pełna zaufania do własnych sił, uważna. Ci, którzy nie wytrzymują tempa, zostają w tyle. Ci, którzy mieli defekt, zostają w tyle. Później następuje pościg. Trzej albo czterech kolarzy rozwijają się i zwijają na szosie jak barwny wachlarz, na zmianę obejmują prowadzenie, są coraz bliżej.

Grupa wchłania ich, jadą dalej razem. Później znów ktoś odpada, dziennikarze dopytują się o czołówkę. Jest w niej pięciu kolarzy — odstęp wynosi 2 minuty. Dojdą ich, czy nie dojdą?

Reprezentantowi Polski, Wójcikowi, który wyrwał się na ostatnich dwóch etapach, nie powiodło się. Zadecydowała guma przebita za Hradcem i zasadnicza grupa pożarła czołówkę na którymś ze wzgórz. Później był defekt Królaka, passa kolarskich nieszczęść, które przysparzają entuzjastom naszego sportu nie mało zmartwień.

Piąte miejsce drużyny polskiej nie było jednak złe. Do sukcesów zaliczyć trzeba przede wszystkim I miejsce na długim i trudnym etapie górskim Hrensko — Pilzno. Były i słabe etapy, ale nasi kolarze jechali jak mogli najlepiej: wytrwali „wyróbnik szosy” Wójcik, uśmiechnięty Wrzesiński, uparty Władek Klabiński, Hadasik, którego numer startowy zawsze odrywał się i tworzył łopocącą na wietrze pelerynkę, świetnie zapowiadający się skromny Królak, i młodzieńki, delikatny jak panienka, Jarczybek.

V Wyścig Pokoju prowadził przez trzy stolice, liczył dwanaście etapów i ponad dwa tysiące kilometrów. Po raz pierwszy trasa prowadziła przez NRD. Po raz pierwszy też, obok dwóch dotychczasowych organizatorów biegu — „Trybuny Ludu” i „Rudeho Prava” — znalazł się trzeci — „Neues Deutschland”.

UŚCISK PRZYJAŹNI

Wtedy, kiedy atlantyccy protektorzy Adenauera knują przeciw polskim Ziemiom Zachodnim, potężna manifestacja w Goerlitz wyraziła uczucia milionów prostych ludzi w Polsce i w Niemczech: granica na Odrze i Nysie jest niewzruszoną granicą pokoju.

Wtedy, kiedy pod opiekuńczymi skrzydłami amerykańskich koncernów odradza się na zachodzie niemiecki militarizm — miliony ludzi manifestowały swe przywiązanie do sprawy pokoju i wolności narodów.

Wyścig Pokoju przejeżdżał obok nowych budowli Warszawy i pieców częstochowskiej huty, obok „Friedenswerke” i wielkich inwestycji planu 5-letniego NRD, obok Zakładów im. Lenina i nowych fabryk Czechosłowacji. W Chorzowie starterem honorowym był Wiktor Markiewka, w Pilźnie — przodownik pracy Wacław Boucek. Przed startem ściskali oni ręce kolarzom Anglii, Francji i Włoch, Holandii, Belgii i Danii.

Wyścig ruszał dalej. Droga wiodła przez górnicze zagłębie Śląska, przez Bad Schandau, wzdłuż topoli i kasztanów, które kwitną w Uści nad Łabą; wielka droga służąca sprawie braterstwa i przyjaźni.

kojowa praca trzech narodów, przez których ziemie jechali.

Po ciężkiej, pięciogodzinnej jeździe przyjemnie jest przepłukać

pełne kurzu usta, jak to właśnie czyni kolarz fiński Niemi (Nr. 31).

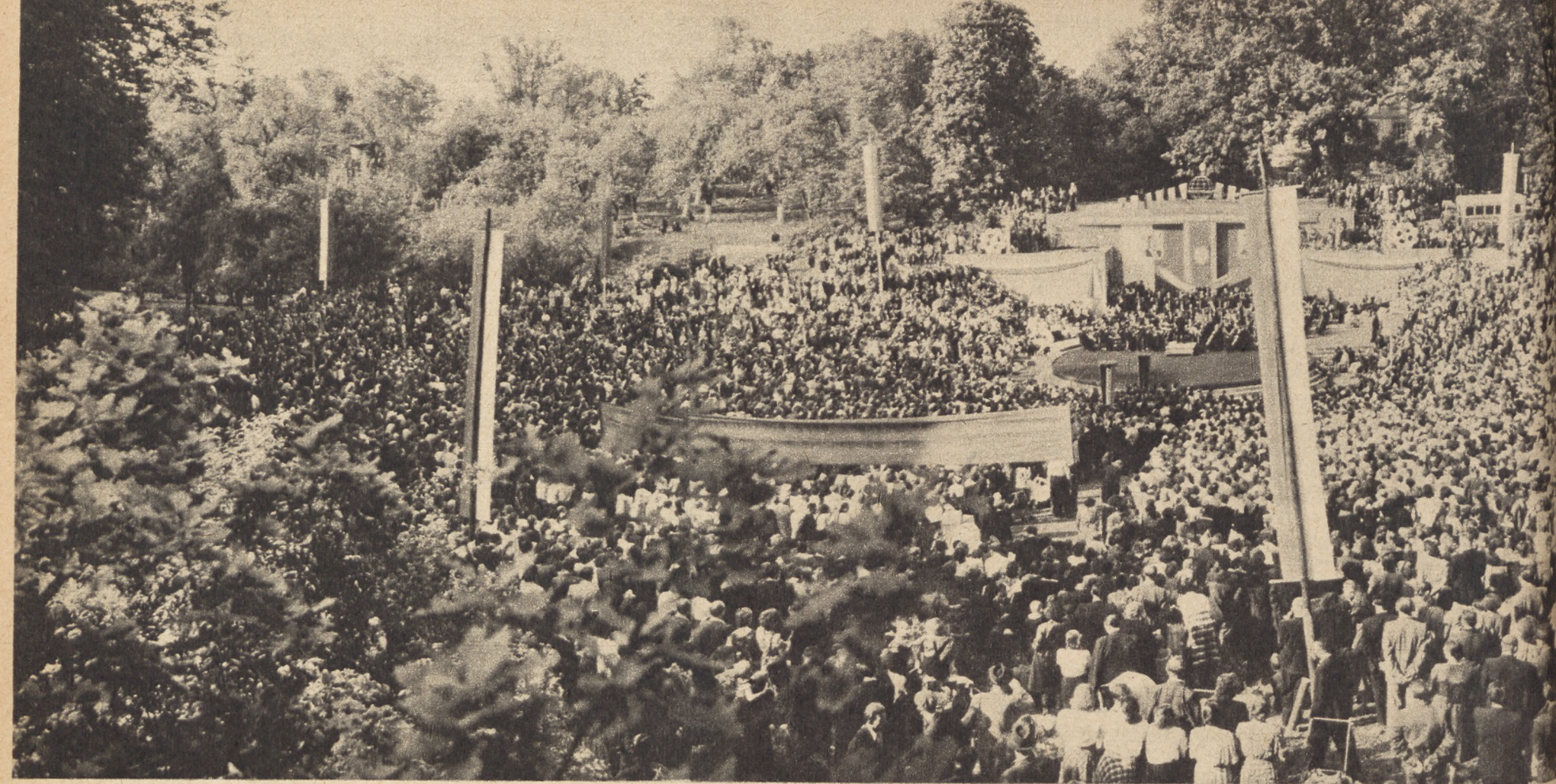
„Powiedzcie u siebie w kraju, jak wy, pokoju” — zapewnia że robotnicy niemieccy, pragną, Hadasika berliński murarz.



Kolarze z 16 krajów europejskich mają już za sobą blisko dwa tysiące kilometrów. Ostatni wysiłek na ostatnim etapie i za licy Czechosłowacji — Pradze.

Na trasie Lipsk — Chemnitz wi-tały przejeżdżających kolarzy i manifestowały na rzecz po-koju 4 miliony ludzi. 200-kilometrowa trasa była jednym nie-przerwanym szpalerem widzów.





W BRZEGU NAD ODRĄ TYŚCIE LUDZI PRZYBYŁY DO SPECJALNIE ZBUDOWANEGO AMFITEATRU, BY W SŁONECZNĄ NIEDZIELĘ MAJOWĄ PODZIWIĆ



Tłumy przybyszy z całego kraju zwiedzają najpierw wspaniałą rezydencję, przyozdobioną w XVI wieku przez włoskich budowniczych, sprowadzonych tu na zlecenie księcia Jerzego II.



Taniec i muzyka w wykonaniu sławnych zespołów ściągnęły do Brzega, piastowskiego grodu nad Odrą, nie tylko widzów z Opolszczyzny ale i z Warszawy, Krakowa i innych miast.



Przed nimi — kilkanaście tysięcy widzów dziękuje hucznymi oklaskami za śpiew i taniec. Chłopcy i dziewczęta z zespołu „Mazowsze” uśmiechem rewanżują się publiczności za uznanie.



Dyrygent Grzegorz Fitelberg wita się z kierownikiem artystycznym zespołu „Mazowsze” — Tadeuszem Sygietyńskim. Oba oddali swój talent sprawie upowszechnienia kultury.

Muzyka

GDYBY nie migocące w słońcu majowego popołudnia mikrofony, gdyby nie szemrzące kamery aparatów filmowych i współczesne stroje ludzi, można by było pomyśleć, że jesteśmy na jakimś wiecu starosłowiańskim. W łonie wzgórz wyłobiono dolinę, której łagodnie spadające stoki poprzecinano szerokimi półkolami ławek. Wokół szumią stare drzewa tak, jak szumiały tu nad Odrą przybysze z Krakowa, Warszawy lub Wrocławia. W piękną majową niedzielę zjechali tu, aby zobaczyć taniec i posłuchać muzyki.

Jednak nie sprawa wojny ale sprawa pokoju zaprząta umysły kilkunastu tysięcy ludzi, którzy dziś rozsiedli się na ławkach kolosalnego amfiteatru w Brzegu, ludzi, między którymi są zarówno mieszkańcy Ziemi Opolskiej jak i przybysze z Krakowa, Warszawy lub Wrocławia. W piękną majową niedzielę zjechali tu, aby zobaczyć taniec i posłuchać muzyki.

Magnesem, ściągającym poprzez kilkaset kilometrów pociągi turystyczne i autobusy z widzami, była Wielka Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia oraz Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze”. Wydaje się to może dziwne: tylu ludzi przybyło z Warszawy, aby posłuchać znanej orkiestry i podwarszawskiego zespołu?

Zaryzykuję twierdzenie, że myśm w Warszawie dotąd jeszcze „Mazowsza” nie widzieli. Trzeba bowiem zespół ten oglądać tak, jak widział go tysiące ludzi w Brzegu: na wielkiej scenie pod gołym niebem, w promieniach wiosennego słońca, w podmuchu majowego wiatru, w oprawie zieleni drzew. Wtedy dopiero można w pełni ocenić barwy strojów ludowych — jakże innych niż w świetle kinokietów, można dojrzeć rozmach i temperament roztańczonej młodzieży, porywającej tłumy tak, że po każdym numerze las rąk składa się do hucznego brawa. Jakże inaczej też niż w zamkniętej sali koncertowej brzmią tu dźwięki wielkiej orkiestry symfonicznej, prowadzonej mistrzowską batutą Grzegorza Fitelberga.

Bliskie zaplecze tego wspaniałego koncertu to robotnicy z kombinatu tłuszczowego, garbarni, fabryki siewników i innych miejsc-



...C „MAZOWSZE” I WIELKĄ ORKIESTRĘ SYMFONICZNĄ POLSKIEGO RADIA.

ZAPATRZENI W TANIEC, ZASŁUCHANI W MUZYKĘ WIDZOWIE.

...yka, Maj i Mazowsze

...ch zakładów przemysłowych. Bliskie za-
...to także chłopcy ze wsi opolskiej, gdzie
...dzisiaj dzień przechowały się stare śląskie
...pięśni ludowe. Głębokie zaplecze — to cały
...polski, którego twórczość artystyczną po-
...dz wiemy na tych przeglądach osiągnąć, ja-
...ni są imprezy i festiwale podczas „Dni
...wiaty, Książki i Prasy”.

...ę wspólną więź całego ludu polskiego wi-
...było szczególnie silnie podczas Festiwalu
...Brzegu — wybuchała ona raz po raz w ma-
...stacjach ogólnonarodowej wspólnoty. Da-
...o nad Odrą niosły się po Opolszczyźnie
...ni „od Przasnysza” i „od Kozienic” i „od
...mia” i „od Opoczna”. Przybysze podzi-
...ali tańce opolskich zespołów i bili brawo,
...ay zielone wieńce — dary od gospodarzy,
...awisały na czarnym garniturze wielkiego dy-
...genta z Katowic czy też na kołnierzach kie-
...owników mazowieckiego zespołu, czy przy-
...yłego ze stolicy Ministra Kultury i Sztuki.

Ludzie spoza Opolszczyzny oglądali też
...da miasta Brzeg: widzieli arcydzieła wło-
...kich budowniczych, których sprowadził tu
...przed wiekami książę Jerzy II, by mu two-
...rzyli budowle na kształt Wawelu. Oglądali
...niekno drzemiące w galeryjkach starego ra-
...usza i w zdobionych mieszczańskich domach.
...piękno architektury rano i piękno tańca
...muzyki popołudniu — oto co dał Brzeg swym
...festiwalowym gościom.

Projektodawca wspaniałego amfiteatru w
...ym mieście — inż. Marian Frolicz, opowiadał
...am, jak próbował akustykę swego przedsię-
...wzięcia. Zbudował mianowicie dokładny mo-
...del z gipsu, a następnie zalał ów miniaturowy
...amfiteatr wodą. Później od strony „sceny”
...aczył zabarwiony płyn i obserwował, jak roz-
...zestrzenia się na „widowni” modelu. Próby
...je powiodły...

Podobna próba przedsięwzięta została w
...w słońeczną, majową niedzielę — już nie
...a modelu, tylko na prawdziwym amfiteatrze
...nie na wodzie, ale na żywych ludziach, w
...których dusze sączone barwne strumienie
...muzyki i kolorowe plamy ludowych strojów.
...ta próba też się powiodła...

Zespół ludowy z Opolszczyzny wy-
...konał przed widzami Festiwalu w Brze-

gu, najpiękniejsze tańce i pieśni ludowe
...tej odwiecznej polskiej ziemi, demon-

strując swój wysoki poziom artystyczny
...i staranne przygotowanie do występu.



FRANCUSKI FILM O KOMUNIE

NIEMAŁY sukces osiągnął reżyser francuski Robert Menegoz Genestel, realizując krótkometrażowy film dokumentalny o epoce bohaterów, którzy „szturmem chcieli zdobyć niebo”. „Komuna Paryska” jest dziełem młodego laureata festiwalu w Karlovych Varach, który otrzymał nagrodę za antyimperialistyczny film „Niech żyją dokerzy”. Rysunki, sztychy i fotografie dokumentalne — oto materiał, z którego wydobyl prawdziwe życie, ruch postaci, plastyczność panoramy Paryża, wymowę istotnych szczegółów historycznych. Twórczy trud postępowego filmowca zbliżył do nas ludzi i wydarzenia Komuny Paryskiej, zbliżył dziewiętnastowieczny Paryż, gdzie...

...na Buttes-Montmartre zgromadzono setki armat. Rząd skapitulował przed pruskim najeźdźcą, ale lud paryski, oburzony zdradą klas panujących, doprowadzony do ostateczności nędzą, pogłębioną przez długotrwałe oblężenie — odmówił wydania armat, 18 marca 1871 roku próbował je wykraść Thiers...



...ale Paryż pokrył się już barykadami. Rząd uciekł do Wersalu, a władzę objął zwyczajny lud: ogłoszono Komunę...



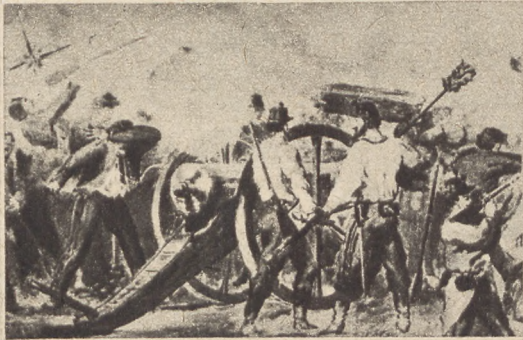
...na domach fabrycznych rozklejano plakaty wzywające robotników Paryża do walki zbrojnej przeciwko zdrajcom narodu, przeciwko wyzyskowi i tyranii. W ciągu 70 dni Komuny władza należała — po raz pierwszy w historii — do pracującego ludu.



Proletariusz paryski objawsz władzę zwrócił się do chłopów: „Bracie, szukają cię! Nasze interesy są wspólne... Paryż chce, żeby narzędzia należały do robotnika, ziemia do chłopów... żąda pracy dla wszystkich...”



Rząd Thiersa, wzmocniwszy swoje siły dzięki pomocy Bismarcka zaatakował komunistów. Był to krwawy tydzień: w ciągu ośmiu dni proletariusze walczyli o każdy dom, o każdy kamień z dziesięciokrotnie silniejszym nieprzyjacielem, nie przebierającym w środkach.



Sprawa jest przegrana — Paryż walczy jednak dalej, bohaterowie umierają świadomi, że nie zdołają już uratować Komuny ale wiedzą, że krew ich wyda płon w przyszłości.



Milczą barykady, płonie miasto. Wersalczy rozstrzelują masowo bohaterskich komunistów. A więc klęska? Czyż władza ludu na zawsze pozostanie marzeniem? Nie!...



W wykrwawionym, milczącym i ciemnym Paryżu płonie jedno okno na mansardzie. Przy stole schylony poeta pisze żarliwe słowa... „Wyklęty powstań ludu ziemi”... Pottier pisze pieśń, która wybiegnie daleko poza Paryż. Śpiewać ją będą ludzie dzięki którym marzenia komunistów staną się rzeczywistością.



MARIAN BRANDYS

DLACZEGO TAK JEST

NIEDAWNO na wieczorze autorskim zapytał mnie jeden z czytelników, dlaczego wśród wydawanych obecnie książek spotyka się tak mało zbiorów nowel czy opowiadań — a tak wiele dużych kilkutomowych powieści.

Wydaje mi się, że to pytanie uderza w bardzo istotny problem naszej współczesnej literatury i nadaje się do publicznego rozpatrzenia. Bo przecież tak jest: nowela i opowiadanie — najżywsze, a bodające najtrudniejsze formy literackie, mające wspaniałą tradycję w historii polskiego pisarstwa (Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Żeromski) — poczynają stopniowo zanikać w naszej literaturze powojennej — ustępując miejsca bardziej lub mniej udanym próbom wielkiej epopei.

Wymienię kilka najbardziej bijących w oczy przykładów porzucenia przez wybitnych pisarzy małej formy beletrystycznej.

Odszedł od noweli autor kapitalnego tomu nowel „Święta Kulo” Jerzy Putrament — znakomity, najwyższej klasy nowelista.

I Wojciech Żukrowski — autor książki „W krainie milczenia”. Zarzucił pisanie swych świetnych „Krótkich opowiadań” Stanisław Dygat.

Przeszli do powieści: znakomicie zapowiadający się autorzy opowiadań — Bogdan Czeszko i Stanisław Zieliński. Przy czym powieści tych dwóch pisarzy: piękne „Pokolenie” Czeszki i jurne „Ostatnie ognie” Zielińskiego ciągle jeszcze wskazują na to, że talent ich autorów skłania się w kierunku małej formy beletrystycznej.

Tych pięć wybitnych przykładów — do których można by jeszcze dołożyć kopę mniej wybitnych — wystarcza do stwierdzenia, że przechodzenie od małej do wielkiej formy beletrystycznej — jest dziś w naszej literaturze zjawiskiem typowym.

Jakie są tego przyczyny? — Nie są one zbyt trudne do uchwycenia. Pierwszą z tych przyczyn było — wydaje mi się — niewłaściwe zrozumienie przez wielu pisarzy naczelnego postulatu wysuwanego przez politykę kulturalną i krytykę literacką — postulatu wielkiej epopei socjalistycznej naszego czasu. Zawinił również krytycy, którzy — poddając analizie jakikolwiek utwór literacki — domagali się wyrażenia w nim wszystkich aktualnych problemów (w środowisku literackim takie niesłuszne stanowisko krytyka określa się dzisiaj żartobliwie jako postulat „wszystkoizmu”).

Postulat stworzenia realistycznej epopei, malującej wielkość i trud naszych czasów — nadal stoi przed naszą literaturą, jako jej naczelne zadanie twórcze. Ale nie znaczy to wcale, że chcemy, aby nasza literatura składała się wyłącznie z wielkich epopei, bo to jest niemożliwe.

Żądamy od naszej literatury, aby przedstawiła nam pełny, wszechstronny obraz naszego życia we wszystkich jego przejawach — lecz nie znaczy to wcale, że chcemy, by ten pełny, wszechstronny obraz zawarty był w każdym utworze literackim — bo to jest niemożliwe.

Niestety, postulat „wszystkoizmu” zrobił swoje. Stworzył atmosferę błędnego mniemania, że każdy utwór literacki powinien tłumaczyć wszystko „od Adama i Ewy”. Ponieważ w noweli czy opowiadaniu wszystkiego od Adama i Ewy nie opowiesz — więc od noweli i opowiadania prosta droga do powieści. Ponieważ i nie każda powieść udźwignie ciężar „wszystkoizmu” — więc wielopiętrowy cykl. Akcja pierwszego tomu rozgrywa się przed pierwszą wojną światową, akcja drugiego — w dwudziestolecie międzywojennym, akcja trzeciego (który ukaże się za parę lat) — w czasach obecnych. (Dla uniknięcia nieporozumień z góry zaznaczam, że żadne z tych słów nie odnosi się do świetnego cyklu powieściowego Igora Newerly'ego).

Przeciążenie wielotomowymi cyklami sprzyja w sposób szczególny zjawisku schematyzmu — a ponadto niesie w sobie groźbę, że nasza literatura współczesna stanie się w znacznej części literaturą „pierwszych tomów”.

Podobne zjawisko przechodzenia od małej do wielkiej formy — wynikające z tych samych przyczyn — daje się zaobserwować także w poezji — gdzie poemat zaczyna wypierać krótki wiersz.

A wszystko to dzieje się w czasie, gdy każdy dzień przynosi tysiąc wdzięcznych tematów do nowel, opowiadań i krótkich wierszy — gdy życie zdaje się wołać do pisarza i poety: odtwarzaj mnie w każdym z mych niepowtarzalnych przejawów.

Zjawisko zarzucania przez pisarzy małych form literackich, szczególnie dzisiaj, musi być uznane za zjawisko ujemne i zubożające literaturę — i wydaje mi się, że trzeba dołożyć wszelkich starań, aby to zjawisko zahamować.

nasz fotokorespondenci donoszą

SANATORIUM REHABILITACYJNE... CO TO JEST?



Sródborów. Piękne wille otoczone lasem. Napis na bramie głosi: „Sanatorium Rehabilitacyjne imienia Hanki Sawickiej”, lecz z otwartych okien dobiegają odgłosy prowadzonego wykładu. Padają cyfry, jakieś formułki... Sanatorium to czy szkoła? Wątpliwości te rozwiewa umieszczony na widocznym miejscu sanatoryjny regulamin, w którym czytamy: „Sanatorium Rehabilitacyjne jest przeciwgruź. Jest to zakład leczniczo - naukowy, który ma na celu przywrócenie chorych na gruźlicę czynnemu życiu zawodowemu”.

Rehabilitacja gruźlika, to nowe u nas pojęcie. Dlatego też doświadczalne Sanatorium w Sródborowie, jedyne dotychczas w Polsce, korzysta wiele z praktyki leczenia Związku Radzieckiego.

W Sródborowie kuracjusze - ozdrowieńcy leczą się i uczą nowego zawodu, ale działalność Sanatorium nie kończy się na tym. Specjaliści technicy rehabilitacji kontrolują dalej jak czułowiek chory na płuca urządzony jest w pracy, interweniują w dyktando różnych instytucji, jeżeli potrzeba przenieść chorego pracującego np. przy frezarce do lepszej roboty itp. Ozdrowieńcami w ich domach opiekuje się pielęgniarka rehabilitacji.

Wróćmy jednak do Sródborowa, do dwóch pawilonów sanatoryjnych, gdzie przebywa obecnie ponad 100 chorych. Na kurs księgowości uczęszcza 33, na kurs inżynierów — 25, na kurs kucharzy budownictwa — 10, a reszta to chorzy przebywający na obserwacji, względnie kandydaci na nowy jeszcze kurs galanterii skórzananej, który rozpocznie się już wkrótce.

Dyrekcja Sanatorium pragnie uruchomić wiele nowych tego rodzaju kursów, aby dać

ludziom chorym na płuca jak najwięcej odpowiadających im zawodów. Po zakończeniu budowy nowego gmachu, otwarty będzie w nim kurs elektrotechniczny i galanterii metalowej. Projektuje się również zorganizowanie w najbliższej przyszłości kursu przeznaczanego dla chorych na gruźlicę rolników. Będzie to pszczelarstwo. Uzależnione to jest jednak od wyników prowadzonych obecnie badań naukowych, które mają wykazać, czy młód nie sprzyja rozwojowi łasecznika gruźliczego.

Absolwenci kursów rehabilitacyjnych mają zapewnioną pracę dzięki opiece i pomocy dla Sanatorium ze strony Centrali Spółdzielni Inwalidzkich. Wszyscy ci, którzy ukończyli pierwszy turnus w Sródborowie, pracują już w nowych zawodach.

Ocenę tego nowego zakładu leczenia poświadczają nam ich wypowiedzi. Oto, co powiedziała dwudziestoletnia Barbara K.: „Coraz silniej odczuwamy opiekę Państwa nad ludźmi chorymi na płuca. Zniknęły na zawsze te straszne obrazy, jakie widzieliśmy przed wojną. Nie mając pieniędzy na leczenie, gruźlik do ostatka wypływał swoje płuca i umierał. Polaka Ludowa zapewnia nam powrót do zdrowia. Sanatoria są dziś dla nas, ludzi pracy. I jest ich coraz więcej. Tu, w Sródborowie mamy nowy dowód opieki Państwa, które nie tylko dało nam możliwość leczenia się, ale i zdobycia nowych, lepszych zawodów, których uczymy się właśnie w Sanatorium Rehabilitacyjnym”.

Naszą przyszłą wydatną pracę będziemy spłacać Państwu zaciągnięty tutaj dług wdzięczności”.

Stanisław Wąsowski, Warszawa

DOLNOŚLĄSKI TEATR „LALKI I AKTORA”



Gdyby ktoś zapytał Krzysia z sanatorium w Kamiennie Górze, Adasia ze szkoły podstawowej we Wrocławiu, Jankę z przedszkola w Jeleniej Górze, co jest w Wałbrzychu najciekawszego, odpowiedzieliby niewątpliwie, że tamtejszy „Teatr Lalki i Aktora”.

O istnieniu tego teatru wie bodajże każde dziecko mieszkające w obszarze Dolnego Śląska, gdyż nie omija on w swych wędrówkach ani małych miast, ani wsi czy produkcyjnych spółdzielni. Przedstawienia długo pozostają w pamięci młodocianych widzów, bo zespół wiele wkłada zapału w każdą z granych przez siebie sztuk.

Ze szczególnym zadowoleniem przyjęła młodzież wprowadzenie na scenę żywego aktora; pierwsze przedstawienie z jego udziałem, w sztuce „Kot w butach” cieszyło się dużym powodzeniem, ale prawdziwym sukcesem był „Gegorek” i „Robinson Kruzo”. Są one w znacznym stopniu zasługą Zdzisława Ty-

Na zdjęciu obok: kukielka majstra Klepek z „Wawrzynowego sadu” Marii Kownackiej

czyńskiego, który podjął śmiały eksperyment. Wychodząc z założenia, że o stylu inscenizacji decyduje typ lalki i dekoracja, dla osiągnięcia realizmu zdecydował się na stworzenie lalki znacznie większych rozmiarów niż to dotychczas praktykowano.

Muzykę dla wałbrzyskiego „Teatru Lalki i Aktora” opracowuje i tworzy Tadeusz Vogelsinger.

Dyrektorem teatru jest Stanisław Karwat, ma on już teraz ułatwione zadanie, bo uzyskał nową, świeżo odbudowaną salę teatralną, leżącą do niedawna w gruzach.

Gdybyście przejeżdżali przez Wałbrzych, lub gdybyście spotkali ten teatr w jakiegokolwiek innej miejscowości Dolnego Śląska, idźcie na jedno z jego przedstawień, może na „Robinsona Kruzo”. Nie będziecie żałować. Nie siadajcie tylko w pierwszych rzędach, jak robia to zwykle wszyscy dorośli, zapominając, że jest to przede wszystkim teatr dla dzieci!

Leon Rzewski, Kamienna Góra

HARCERZE-TIMUROWCY POMAGAJĄ W SIEWACH

Gdy na pochodzie 1-Majowym w Rudnikach drużyna harcerska z Ciecuiowa maszerowała z siewnikiem i transparentem, zerwał się huragan oklasków. Długo wiwatowano na cześć młodych, dzielnych Timurowców, dzięki którym gromada Ciecuiów pierwsza w gminie wykonała zobowiązanie, podjęte z okazji uroczystości 10-lecia Prezydenta Bolesława Bieruta i 1 Maja.

Drużyna Harcerska im. gen. Karola Świerczewskiego w Ciecuiowie (gmina Rudniki, powiat Wieluń) istnieje dopiero od roku, ale zaistniała już w gminie sumiennieścią i pracowitością.

Kiedy w całym kraju podejmowano zobowiązania na urodziny Prezydenta Bieruta, ra-

da drużyny zaplanowała urządzenie zabawy i imprezy widowiskowej, a za osiągniętych do chod postanowiła kupić sztandar. Zaprojektowano również posadzenie 60 krzewów wokół szkoły, wyrównanie terenu pod boisko, ustawienie koszy do koszykówki i zwiększenie wkładów do Szkolnej Kasy Oszczędnościowej o 50%.

Harczerz Małolepszy wysunął wniosek, by zrobić coś i dla całej wsi. Po dyskusji rada drużyny postanowiła pomóc w siewach rodzinom wojskowych, mało i średniorolnym chłopom oraz aktywistom wiejskim. Harcerze nie byli jednak pewni czy SOM pożyczki siewnik i czy dadzą sobie radę z jego obsługą. Wybra-



o delegację, która udała się do SOM-u do Zytinowa.

Kierownika SOM-u, ob. Banasiuka zaskoczyła prośba dzieci. Nie był zdecydowany — obawiał się czy nie zepsują siewnika, ale entuzjazm dzieci udzielił się i jemu. Z życzliwym uśmiechem podsunął gruby zeszyt, gdzie spisywano umowy. W imieniu harcerzy umowę podpisał przewodnik drużyny, Marciniak.

Rozplanowano pracę. Podzielono się na trójki i ustalono kto, kiedy i gdzie ma siać. Aby nie zaniedbywać nauki, siewy odbywały się po lekcjach szkolnych.

W pogodny, słoneczny dzień kwietniowy, z transparentem na siewniku i ze śpiewem wyruszyli dzieci w pole. Z chałup powychodzili ludzie — jedni z dumą uśmiechali się do harcerzy, drudzy z powątpiewaniem wzruszali ramionami.

Siewnik prowadzili uczennice 7 klasy, siostry Marta i Leontyna Wiedloch oraz Stasia Krzak. Gleba zbyt nasyciona wilgocią stawiała opór, koła siewnika grzęzły głęboko, kopyta koni zapadały się aż po pecyny, ale młodzi siewcy dotrzymali słowa. Do 25 kwietnia obsiali 20,5 ha ziemi. Ale to nie wszystko. Wykonali wspaniałe i inne zobowiązania — zamiast 60 krzewów wokół szkoły posadzili 95, powiększyli wkłady do Szkolnej Kasy Oszczędnościowej nie o 50 a o 120%, wyrównali boisko i ustawili kosze do koszykówki.

Harczerze - Timurowcy z Ciecuiowa zyskali sobie szacunek całej okolicy.

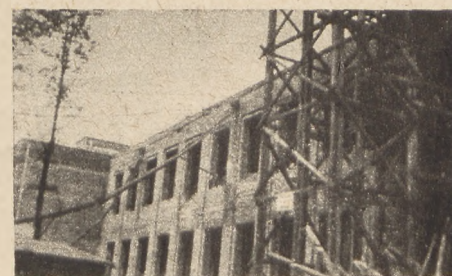
Tekst i zdjęcie: D. Krempa

DOM KULTURY W ŚWIDNICY

Już w bieżącym roku zostanie oddany do użytku największy na Dolnym Śląsku Dom Kultury w Świdnicy.

Będzie on posiadał salę widowiskową na 120 miejsc, salę gier, gimnastyczną, konferencyjną oraz bibliotekę i czytelnię. Znajdą tam również pomieszczenia kluby racjonalizatorskie. Koszt budowy wynosi 3 miliony złotych.

Świdniczanie ochotniczo pomagają przy budowie tego gmachu. Największy jednak wkład



siły roboczej dała Zawodowa Straż Pożarna w Świdnicy, której brygady przy wznoszeniu Domu Kultury pracują codziennie.

Gdyby Świdnicka Straż Pożarna znalazła więcej naśladowców, Dom Kultury zostałby oddany do użytku przed terminem.

Jan Bartoś, Świdnica

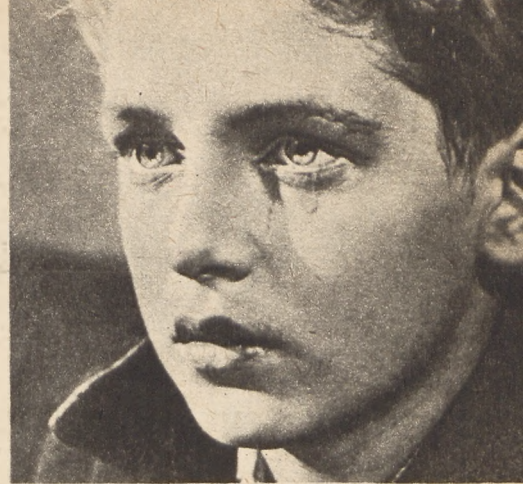
JÓZEF SZCZYGIELSKI ZOSTAŁ PRZODOWNIKIEM



Tegoroczne siewy wiosenne na Lubelszczyźnie pierwszy ukończył Józef SzczygIELski ze wsi Wylany w powiecie lukowskim. Posiada on prawie 5 ha ziemi ornej, którą uprawia starannie, aby, jak sam mówi — „wysokie plony zapewniły miastom dostatek chleba, kasz i cukru”.

Syn SzczygIELskiego ukończył liceum budowlane i pracuje obecnie przy budowie Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku pod Lublinem. Córka pracuje w Warszawie, w jednej z placówek handlu spółdzielczego.

Józef Czakras, Łuków



15 — 28 V. 1952

Festiwal Filmów Czechosłowackich



W tegorocznym Festiwalu Filmów Czechosłowackich ujrzymy siedem nowych filmów: „Mikolaj Alesz” (film biograficzny o wielkim malarzu-realisty; pisaliśmy o nim w jednym z poprzednich numerów naszego pisma), „Bój skończy się jutro” (albo, poprawnie tłumaczyć, „Walka skończy się jutro”), — którego tematem są tradycje walki rewolucyjnej słowackiej klasy robotniczej. Film ten odznaczony został Czechosłowacką Nagrodą Państwową.

„Mały partyzant” (zdjęcie pierwsze u góry) — to historia dzieci czeskich w czasie okupacji. Również wojennym filmem jest „Akcja B”, ukazująca oblicze walki czechosłowackiej klasy robotniczej z wrogiem jawnym i zamaskowanym, z bandami faszystowskich niedobitków usiłujących przedrzeć się do swych amerykańskich opiekunów.

Tematyce produkcyjnej i zagadnieniom z nią związanym poświęcone są dwa filmy: „DS 70 nie działa” (walka z dywersją i sabotażem) i „Brygada szlifierza Karhana” (według znanej i u nas sztuki Waszka Kani; jak wiemy tematem jej jest współzawodnictwo i nowy, socjalistyczny stosunek do pracy).

O trójkach murarskich i kobietach na budowie (temat ogromnie nam bliski) mówi film „Wesoła trójka” (zdjęcie ostatnie).

Także budowniczowie są bohaterami ostatniego filmu Festiwalu, komedii, której scenariusz został napisany według słuchowiska radiowego K. Stanisława „Szczupak w stawie”.

A więc do zobaczenia na widowni... OST.



W BEDFORD-ROW

JAN LAM / wg. W.M. Thackeraya /

3

RYSUNKI JERZEGO ZARUBY

Perkins pozostał sam na placu, pogrążony w osłupieniu i w rozpacz. W przeciągu jednej minuty wyobrażenia jego wskazała mu milion przeszkód, niweczających jego związek z Łucją. Na koniec, ocknąwszy się, postanowił pójść na ulicę Baker Street i czekać pod bramą jenerała, póki Łucja nie wyjdzie. Na nieszczęście, nie mógł znaleźć dorożki w parku i zmuszony był odbyć całą podróż piechotą. Pędził tak, że omal się nie zabił i że przybył właśnie w chwili, gdy dwie damy wysiadały z powozu przed domem Gorgonów, a lokaj wołał z ganku do woźnicy: na pół do siódmej! — o której to porze myłady zamierzała wyjechać na jakiś proszony obiad. Następnie tenże sam duplikat Jerninghama zatrzasnął drzwi za sobą, spojrzawszy z pogardliwym niedowierzaniem na Perkinsa, usiłującego zaglądnąć do wnętrza domu, i dawszy głośny wyraz mniemaniu, iż ciekawość ta dotyczy zwierchnich sukni, wiszących w przed-sionku.

Nie zostało bohaterowi naszemu nic, jak tylko patrolować cierpliwie po Baker Street i czekać, co się stanie. Jakiś czas medytował nad tym, dlaczego pomimo niedzieli, rodzina Gorgonów, tak demonstracyjnie pobożna, nie była w kościele? Przechodząc koło kaplicy spostrzegł atoli, że na ten dzień zapowiedziane były aż dwa kazania, połączone ze składkami dobroczynnymi; uśmiechnął się tedy i zrozumiał, że jenerał musiał przed śniadaniem odczytać modlitwy dla całej swojej rodziny, ażeby nie potrzebowała iść na nabożeństwo do kościoła.

Po niejakiem czasie Perkins oglądał powrót trzech panien Gorgon, młodego Gorgona, pudła i guwernantki, a w pół godziny później nadciągał i jenerał, w granatowym fraku i ciemnych rękawiczkach. Upłynęły jeszcze dwie godziny, a drzwi, poza którymi zniknęła była Łucja, zostawały ciągle nielitościwie zamknięte. Jańcio był w rozpacz coraz większej, czekał już od trzech godzin, a nikt nie wychodził z domu jenerała. Dopiero po upływie tego czasu, pojawił się na ulicy lokaj. Za chwilę zajechał fiakier, z którego, ku wielkiej radości p. Perkinsa, wylały po kolei białe kamasze, czerwone pludry, migdałowe szosy od fraka i inne części składowe liberei Gorgonów. Był to p. Jerningham we własnej swojej osobie — widocznie tedy posyłał go po fiakra. Zadzwoń! wszedł, a wkrótce potem drzwi otworzyły się znowu i pojawiła się dama. Lokaj nie szedł za nią i nie otworzył jej drzwiczek od powozu, ale stanął w drzwiach z założonymi rękoma. Rzecz była jasna: p. Jerningham był świadkiem sceny w parku, słuchał następnie pod drzwiami salonu jakimi wymówkami obsypywano Łucję, obrażony był, iż kazano mu chodzić po fiakra dla tak niedystygowanej osoby, i wskutek tego wyszłszy nie raczył usłużyć jej przy wsiadaniu do powozu.

Tym raźniej wyręczył go Perkins, skoro poznał przedmiot swojego ubóstwienia. W jednym oka mgnieniu znalazł się w dorożce obok Łucji i zawołał na woźnicę: Caroline Place, Meklemburgh Square!

P. Jerningham zamknął drzwi i poszedł spocząć po swoich trudach. Gdyby był został chwilę dłużej, byłby był może nieco zdziwiony, widząc, że fiakier, ujechawszy zaledwie kilkanaście kroków, stanął, i że p. Perkins, niedawno jeszcze tak rezolutny, wysiadł z niego z miną niesłychanie skonfundowaną i nieszczęśliwą.

Tak było, niestety! Zastał on Łucję łkającą w dorożce, a obecność jego, zamiast ją pocieszyć, irytowała ją jeszcze bardziej. — Panie Perkins — mówiła — proszę, nalegam na to, abyś pan wysiadł! — Gdy zaś, zamiast być posłusznym, p. Perkins zrobił jakiś ruch, z którego, nie będąc wówczas w fiakrze, sprawy zdać nie możemy, panna Łucja chwyciła za sznurek, służący do komunikacji z woźnicą, i kazała mu stanąć.

Obywatel ten wykonał rozkaz, oglądając się w tył

z wyrazem fizjonomii ciekawym i nieprzyjemnie jowialnym. Perkins wysiadł, jak zmyty.

— Gdzie mam odwieźć tę młodą osobę, proszę pana? — zapytał woźnica, dając tym samym do zrozumienia, iż jego zdaniem, wskutek nieporozumienia między stronami, pierwotnie wskazany mu cel podróży będzie zmieniony. Jańcio odmruknął mu coś, co diabelnie podobne było do stu diabłów, albo do większej jeszcze ich liczby, i dodał ponuro: Caroline Place, Meklemburgh Square.

Zważmy, że biedna Łucja w ciągu tych trzech godzin, przez które Jańcio patrolował po ulicy Baker Street, wytrzymała kazanie trwające sto osiemdziesiąt minut, ani mniej, ani więcej, i to kazanie, idące cres-



cendo w miarę jak pani jenerałowej przybywały posiłki, złożone z jej córek i męża. Zahukano ją tak, że w końcu zdawało jej się, iż popełniła w istocie coś niezmiernie zdrożnego, i Jańcio wydawał jej się w tej chwili jakimś złym duchem, którego unikać należało. Płacząc tedy i łkając, pojechała rzucić się w objęcia ciotki Bigsówny, a w ślad za nią podążył w tę samą stronę pieszo młodzieniec o pękniętym sercu. Znalazł się on wkrótce przed drzwiami ukochanej — widział światło w bawialnym pokoju — ale nie miał odwagi wejść. Upadając pod brzemieniem czarnych myśli, wrócił się, minął ulicę Doughty Street, skręcił na Bedford-Row i znalazł się wkrótce na swoim poddaszu.

Pani Snooks, gospodyni, postarała się była o ogień na kominku i przygotowała mu niedzielna wieszczkę, a mianowicie, ulubioną jego baraninę od łopatki, z dymiącymi się, wonnymi ziemniakami. (O błogosławiona baranino kawalerskiego stanu: najpierw pieczona, potem na zimno, potem siekana, potem z sosem, a na koniec smażona, i smaczniejsza niż pierwszym razem! P. Perkins lubił ją, i zazwyczaj wybredny bywał raczej co do ilości, niż co do jakości — obecnie atoli, połknawszy zaledwie dwa kawałki, rzucił nóż i widelec, i chwycił się za włosy.

— Pani Snooks — rzekł grobowym głosem — proszę zabrać tę baraninę i proszę mi podać przyrząd do pisania i szklankę wody z ginem.

Pani Snooks wykonała to polecenie nie alarmując się wcale, albowiem Perkins zwykł był od czasu do czasu kleić wiersze i w takich razach nie było to niczym nadzwyczajnym, że chwycił się za włosy i wołał o atrament, papier, pióro i szklankę grogu.

— Snooks — jęknął, napisawszy parę wierszy — weź pani kapeluszy i zanieś to — wiesz już gdzie? — Tym razem głos jego był tak wzywającym litości, że pani Snooks omal się nie rozplakała. Wzruszenie to nie przeszkodziło jej atoli odnieść biletu na miejsce przeznaczenia. Bilet brzmiał, jak następuje:

„Łucjo, Łucjo, Kochanko mojej duszy! Co, co się stało? Piszę to (tu następowała wielka plama z grogu i atramentu) w stanie graniczącym z rozpaczą, z sza-

leństwem. (Chlap! druga plama). Dlaczego odepchnęłaś mię w sposób tak okrutny? Napisz mi choć jedno słówko, powiedz, że wolno mi zbliżyć się do ciebie i nie zostawiaj w mękach skonań (Chlap, chlap, chlap. Cała reszka szklanki) twojego wiernego:“

J. P.

Nie podpisywał się on nigdy „John Perkins“ w całej rozciągłości, bo zdawało mu się to czymś trywialnym i arcy nieromantycznym.

Pani Snooks odeszła tedy, a Jańcio oczekiwał jej powrotu w dzikim wzburzeniu umysłu, rzucając się niespokojnie, szarpiąc włosy, łamiąc ręce i popijając to wszystko wodą z ginem.

Zdawało mu się na koniec, że już najmniej czterdzieści lat temu jak pani Snooks odeszła z posyłką. Chciał już wołać jej męża i wysłać go w pogoń za nią, gdy naraz stanęła przed nim, z wielką epistolą w ręku.

Cały drżący odpieczętował podany sobie pakiet i omal nie zemdlął, gdy zamiast pisma Łucusi, obaczył pismo panny Biggs, które opiewało:

„Kochany Panie Perkins! Byłam zmuszona otworzyć i odczytać bilet pański i powiedziałam to Łucusi, która leży w łóżku i ma migrenę, skutek sceny jaką przeżyła z Gorgonami na Baker Street. Nie turboj się pan, do jutra wszystko będzie dobrze, wszak pan wiesz, że Łucja nie należy do osób zbyt łatwo chorujących na nerwy. Wyśpi się i będzie zdrowa i wesół jak zawsze. Dołączam ciekawą notę dyplomatyczną, którą otrzymałam w tej chwili; proszę, ażebyś pan nie wpadł w desperację i jestem przychylną mu ciotką

Barbara Biggs“.

Dołączona nota opiewała:

„Jenerał-major wojsk Króla Jegomości! Sir George Grimsby Gorgon, zgorszony jest i oburzony do najwyższego stopnia stosunkiem, jaki zawiązała panna Łucja Gorgon.

Jenerał-major Sir George Grimsby Gorgon nie może uciąć oburzenia, jakie czuje z powodu udziału wziętego przez pannę Biggs w tej haniebnej transakcji.

Sir George Grimsby Gorgon zakłada absolutne veto przeciw wszelkiemu dalszemu stykaniu się jego synowicy z nikczemnym awanturnikiem, którego panna Biggs dopuściła do jej towarzystwa. Jenerał-major Sir G.G.G. rozkazuje i oznajmia, że panna Łucja Gorgon wyjdzie za mąż za pana Fitch, porucznika w pułku przybocznej gwardii królewskiej“.

„Jest to życzeniem jenerał-majora, ażeby 28 bm. panna Łucja Gorgon przybyła do jego domu przy ulicy Baker-Street, gdzie bezpieczniejsza będzie od impertynencjnych intruzów, niż przy MUKLEBURY-Square“.

Rozkaz ten dzienny zaadresowany był do „P. BIGGS, CAROLINE PLACE, MEKLEMBURGH SQUARE“.

Żółta, pomarańczowa, zielonkowata, ciemnozielona na koniec złość napełniła duszę Jańcia wobec tej zarozumiałości szanownego baroneta (który, nawiasem mówiąc, nie miał najmniejszego tytułu prawnego do przybierania rozkazującego tonu w jakim pismo jego było sformułowane. Powiedzieliśmy ponoć na wstępie, że Łucja miała lat 21 skończonych i 7000 funtów majątku, a w tym wieku i w posiadaniu tej sumy, każde indywiduum zamieszkujące „Wyspę Królującą et caet.“ (ut supra) może żenić się, lub iść za mąż, chociażby nawet feldmarszałek książę Cambridge czuł się oburzony z tego powodu i chociażby cały gabinet zagroził podaniem się do dymisji). Sir George miał jednak tak ogromne wyobrażenia o swej godności, że nie mógł pojąć, jakim by sposobem ktokolwiek śmiał oprzeć się jego woli.

Jańcio ze swej strony uchwalił po krótkim namyśle, że zastrzeli p. Fitch, porucznika przybocznej gwardii, i że utoczy w dodatku nieco krwi jeneralskiej.

Zawiadomiliśmy szanownego czytelnika, że w domu tegoż Jańcia mieszkał deputowany William Pitt Scully, Esquire, z Oldborough, na pierwszym piętrze. Wiemy także o bezgranicznym uwielbieniu, jakim Jańcio przejeżył dla p. Scully'ego, a dodać musimy, że bohater nasz od pewnego czasu zaczął był myśleć o sobie, iż jest figurą polityczną, albowiem mając niezłe pióro, napisał był wszystkie mowy, wygłoszone w Izbie Gmin przez W. P. Scully, i wszystkie listy jego wystosowane do wyborców. Był on po prostu prywatnym, ale bezpłatnym sekretarzem tego wielkiego męża, który dzięki niewinnej adoracji Jańcia oszczędzał co najmniej gwinę tygodniowo na kosztach kancelarii.

Otóż, pod wpływem wzburzenia, którego pobudki nakreśliśmy, Jańcio zbiegł na dół ze swego poddasza i poszedł orzeźwić się świeżym powietrzem w ogrodzie. Noc była przecudna. Promienie księżyca drzemały słodko na gazonach ogrodów w Gray's Inn i srebrzyły okazałe ulicę Theobalds-Row. Prócz tego, srebrny monarcha nocny dawał na niebie „recepce“ milionom iskrzących się gwiazd, a ziemia przypatrywała się całemu temu blaskowi w najgłębszym milczeniu. Czasem tylko zawył z jakiegoś zaułka paru pijanych Irlandczyków, albo też kilku dependentów adwokackich zawtórowało nietrzeźwym śpiewem monotonnemu wołaniu stróża nocnego. Perkins usiadł w altanie i czuł, że uroczysta ta cisza nastraja go coraz spokojniej. Jakież wzburzenie umysłu ostoi się wobec takiej nocy?

Naraz Jańcio spostrzegł, że prócz niego, ktoś jeszcze jest w ogrodzie. Ktoś chodził ścieżkami i perorował po-

1) Działo się to za panowania Wilhelma IV, wuja Królowej Wiktorii. Przyp. tłum.

ważnym głosem. Wyznamy, że to był Scully, który uczył się na pamięć mowy parlamentarnej, ułożonej przez Jańcia.

— Szanowny panie prezydencie (speaker) — mówił, krząc zamazysto, z założonymi na piersiach rękoma — gdybym był miał zamiar zabrania głosu w tej Wysokiej Izbie przy tej sposobności... hm, hm, przy tej sposobności... byłbym się starał przygotować tak, jak tego wymaga doniosłość przedmiotu i wysokie moje uszanowanie dla tak znakomitego zgromadzenia... hm, hm, zgromadzenia... Ale, szanowny panie prezydencie, ja jestem prostym człowiekiem, człowiekiem z ludu... hm, hm, z ludu... Własną, ciężką pracą, w pocie czoła, uzbierałem sobie mająteczek i pozycję, która mię tu stawia jako nieustraszonego niczym obrońcę...

W tej chwili, p. Scully, nieustraszony obrońca, poczuł na barkach swoich rękę, a w samym rdzeniu pa-cierzowym głos, wołający:

— Pieniądze lub życie!

Szanowny, a nieustraszony obrońca praw ludu przysiadł na miejscu, manuskrypt improwizowanej mowy wypadł mu z rąk, katońska postawa jego drżała jak liść osiki. Jednym słowem — mamyż to wyznać — William Pitt Scully był w ogromnym strachu.

— Toż to ja! — zawołał Jańcio, który sprawił tę niespodziankę swojemu Napoleonowi, i spostrzegłszy jej skutki, próbował teraz śmiać się, ale bez skutku.

— A, a... to pan! — rzekł trybun prostując się. — Jakże pan śmiesz... przerywać w ten sposób ważne moje rozmyślanie?

— Ja... daruj pan, ja chciałem zasięgnąć pańskiej rady... w bardzo ważkiej kwestii... chciałbym ożenić się...

— Ożenić się? Czyś pan oszalał? A z czegoż pan myślisz żyć?

— No, moja narzeczona ma paręset funtów rocznie, ja mam ten dom, a potem, jak panu już mówiłem, wuj ja mam ten dom, a potem, jak panu już mówiłem, wuj Crampton przrzekł mi posadę w „Urzędzie Kontroli Szpagatu i Laku“, co także przyniesie około trzystu funtów stałych, pewnych i nie wymagających wielkiej pracy...

— Posadę! Posadę w Urzędzie Kontroli Szpagatu i Laku! Wielkie nieba, panie Perkins, pan, pan przyjąłbyś synekurę urzędową tego rodzaju?!

— Płaca jest w istocie bardzo skromna — rzekł Perkins, który nie rozumiał dobrze, dokąd zmierza p. Scully. — Ale chciej pan zważyć: sześć miesięcy feryj, dwie godziny zajęte czytaniem gazet albo paleniem cygar... Bądź co bądź, jest to...

— Bądź co bądź jest to oszustwem! — huknął mąż ludu. — Oszustwem, mój panie, popełnionym na kraju! Bezecnym wyzyskiwaniem skarbu publicznego, mój panie! Ssaniem krwi ludu, który ginie z głodu, byle się ściągnąć na podatki, mój panie! Przyjm pan, przyjm pan tę synekurę — ciągnął dalej patriota, dysząc świętym oburzeniem — o, przyjm ją pan, stań się pan narzędziem tyranii depcącej najświętsze nasze prawa, tuczając się naszym mieniem — ale nie nazywaj pan mię więcej swoim przyjacielem! Panie, gdybym miał syna, wolałbym go raczej widzieć trupem tu, u stóp moich, niż sługą tego rządu, którym pogardzam, u którego nienawidzę!

Rzekłszy to, p. Scully począł w największej furii i ogromnymi krokami wszedł i wzdłuż deptać ścieżki ogrodu.

— Przebóg, panie Scully — zawołał Jańcio — nie mów mi pan tego! Drogi panie Scully! Nie jestem bynajmniej tak podłą, sprzedajną duszą, za jaką mię pan bierzesz! Nie zastanowiłem się tylko nad doniosłością tej sprawy. Jutro, zaraz jutro rano idę do wuja Cramptona i powiem mu, że nie chcę jego posady! Tylko, na miłość Boga, nie wykluczaj mię pan ze swojej przyjaźni, droższej mi nad wszelkie posady w świecie!

P. Scully stanął i chwycił Jańcia za rękę. Rozmowa ich trwała jeszcze pół godziny, ale nie zawierała nic takiego, aby warte to było powtórzenia w tym miejscu. Dostę, że nazajutrz rano, po pojednaniu z panną Łucją i po dłuższej rozmowie z nią i z panną Biggs, p. Jan Perkins ruszył na ulicę Downing Street, gdzie jak wiadomo wszystkim pięciu częściom świata, znajdują się biura najwyższej władzy Zjednoczonych Królestw Wielkiej Brytanii i Irlandii. Szefem tej władzy jest „pierwszy lord skarbu“, a dyrektorem biur tego potentata, poprzedników i następców jego, był wuj Jańcia, Mr. Josiah Crampton, Esquire.

Mr. Josiah Crampton był to staruszek chudy i małego wzrostu, ale krzepki jeszcze i nadzwyczaj elegancki, bo innym przecież być nie mógł podsekretarz stanu w samej Treasury, tj. w prezydium rady ministrów. Stary kawaler, od 42 lat pracujący w biurach, których był szefem. Cicho mówiący i noszący trzewiki, które nie skrzypiały, ani nie pukały obcasami. Wzór urzędnika, na którego głowie stoi całe ministerstwo.

Jańcio nie miał odwagi zażądania wprost widzenia się z wujaszkiem i z tego powodu zaszedł do przedpokoju ministerialnego, gdzie zastał oczywiście siedmiu Irlandczyków, trzech redaktorów, kilku podrzędnych urzędników i paru woźnych, szybko pomykających z posyłkami. Przez cztery godziny przypatrywał się temu ruchowi, a w wolnych chwilach odczytywał stare numery *Morning-Post*, leżące na stole. Na koniec dał mu znać, iż Mr. (w Austrii powiedzianoby, iż „Jego Ekszelencja“, przyp. tłum.) życzy sobie jego obecności...

Wszedł więc Jańcio do pokoju, wysłuszonego pięknym, choć wypłowiałym nieco dywanem i zawierającego prócz biurka, odpowiednią ilość kanap i fotele, a nadto parawan zasłaniający drzwi do dalszych apartamentów. Na ogromnym kominie paliło się tyle drzewa, ile uchwalono w budżecie, tj. paliły się dzie-



wicze lasy najgłębszej Ameryki, podniecane wichrami oceanu Atlantyckiego.

— Janie — rzekł stary podsekretarz stanu — mówił mi woźny, iż jesteś tutaj od jedenastej rano. Po jakich sto diabłów?

— Mam ważny interes, wuju — odparł Jańcio poważnym głosem.

Siwy biurokrata zmierzył go od góry do dołu niezmiernie ciekawym spojrzeniem. Spojrzenie to zażenowało Jańcia cokolwiek, ale nie przeraziło się i jął prawić głosem trybuna ludu:

— Drogi wuju! Od dłuższego już czasu wuj dobrodziej znasz moje zasady polityczne. Wiesz, drogi wuju, także, iż miałem zaszczyt wejść w przyjaźń z mężem... z mężem, który... z mężem, który jest... mężem kierującym kierunek skierowany liberalnie...

Tu Mr. Crampton raczył nastroić twarz swoją do śmiechu.

— Kiedy z łaski wuja dobrodzieja — mówił dalej Jańcio — otrzymałem zapewnienie, iż dostanie mi się posada w „Urzędzie Kontroli Szpagatu i Laku“ — zasady moje nie były jeszcze tak wyrobione jak są obecnie, po dłuższej rozwadze i po zasięgnięciu rady męża, który... męża... męża kierującego kierunkiem...

Tu Mr. Crampton uśmiechnął się, jeżeli tak powie-dzieć można, poczwórnie, poszóstnie. Uśmiechał się, jak cały gabinet razem.

— Powziąwszy tedy jego radę — ciągnął tedy Jańcio, nieco już skonfundowany tą wesołością wujaszka — zmuszony jestem, drogi wuju, oświadczyć, iż...

— Iż? — krzyknął p. Crampton, zmieniając naraz wyraz twarzy i zrywając się z krzesła.

— Iż nie przyjmuję posady w urzędzie „Kontroli Szpagatu i Laku“ — odparł Jańcio.

— Co? — krzyknął podsekretarz stanu — A z czegoż ty myślisz żyć, smarkaczu? Z twojej chałupy może? Jak mi Bóg miły, tak nie dam ci ani feniga w takim wypadku! Wypieram się wszelkiego pokrewieństwa z tobą!

— Ha! — zawołał Jańcio, przybierając bohaterską pozę i minę, o ile mógł, męczeńską. W duszy swej był on przekonany w tej chwili, że „tegi chłop z niego i basta“ — Ha! Mam przecież jakieś zdolności i studia i jestem kandydatem prawa²⁾. Mogę sobie zdobyć pozycję!

— Zdolności, studia, pozycja! Czy ty oszalałeś, Jasiu? Co ty mi tu pleciesz, do miliona diabłów? Czy ty, osle..., przypuszczasz, że byłbym ci ofiarował tę posadę, której zdobycie dla ciebie kosztowało mię niemało zacho-du, gdybym mógł być mniemać, że zrobisz karierę jako prawnik? Ty głupcze, bałwanie! Ty, co chciałbyś tylko bawić się wiecznie, albo leżeć w łóżku, albo pójść gdzie na wieczorek, albo czytać romanse, grać na fle-cie i pisać wiersze, ty — miałbyś odznaczyć się pomie-dzy tak ciężko pracującymi ludźmi, z jakich się składa nasz stan prawniczy, i zrobić fortunę? Ależ błaznie, toż mój woźny, ten, co ci zdejmował palto, zostanie pierwaj kanclerzem wielkim koronnym, nim się znaj-dzie taki bałwan, który by tobie, tobie powie-rzył swój proces! Dlatego też umyśliłem, iż potrzeba ci czegoś bezpiecznego, pewnego, niezawisłego od ni-czyjego humoru, dlatego znalazłem i zdobyłem dla ciebie synekurę, bo wiem, iż jesteś absolutnie do ni-czego! Tak! tak! Ale ty, oczywiście, masz zasady! Ożeni-sz się z panną Gorgon, objedziesz dziesięć razy do-roczne terminu sądowe w królestwie, będziesz miał tymczasem sześcioro dzieci, a żaden pies nie poprosi cię o zastąpienie go w sądzie o obrazę honoru jego ogona! No, no! Mógłbym się gniewać, ale na szczęście

2) Gdyby nie ogromna różnica stosunków tutejszych z angielskimi, byłibyśmy użyli wyrazu „auskultant“, albo „koncypient“, zamiast „kandydat“; dla lepszego zrozumienia rzeczy notujemy, iż materialnie nie ma żadnej różnicy. Przyp. tłum.

wiem, kto ci wpakował w głowę te wszystkie niedo-rzeczności!

Wobec tej filipiki Jańciowi aż w uszach dzwoniło. Zasady p. Scully i respekt wobec wuja walczyły z sobą w jego duszy. Nie wiedział, czyli wypada trzasnąć w łeb J.W. podsekretarza stanu, lub też upaść mu do nóg i zawołać: wujaszku, zbłądziłem! Miał on wielką ochotę uczynić to drugie, tj. upaść na kolana przed wujciem, ale był jeszcze pod świeżym wrażeniem sceny, jaką nazajutrz po otrzymaniu biletu panny Biggs miał z tą damą i ze swoją Łucją, wskutek rozmowy z panem Wiliamem Pitt Scully. Przybył nadziany i nabity wielkimi zasadami demokratycznymi. Ekspłodował. Panna Biggs i Łucusia uznały, iż jest wzniosłym na-prawdę. Przysiągł sobie w duszy, iż nie przyjmie sy-nekury rządowej. Łucusia miała łzy w oczach i rzekła mu: — Jańciu, jakiś ty szlachetny! Jak tu sprzeniewie-rzyć się takiemu posłannictwu? Takiej zachęcie! A jed-nak — wujcio miał także nieco słuszności po swojej stronie!

Wujcio przypatrzył mu się uważnie i rzekł sarka-tycznie:

— Twój „patriotyzm“ demokratyczny, jeżeli się nie mylę, pochodzi z handlu Wiliam Pitt Scully, Esquire?

Jańcio zarumienił się jeszcze czerwieniej niż przed-tem, i przyznał, że „między innymi“ radził się także p. Scully'ego.

Podsekretarz stanu uśmiechnął się znowu i spomie-dzy papierów leżących na biurku wyszukał jeden. Od-czytał go szybko, oderwał dolną część, na której był podpis, i podał resztę Jańciowi.

Pismo brzmiało:

„Hawksby wybała Scully'ego. Możemy go mieć, kie-dy zechcemy. Sroży się on teraz wprawdzie i powiada, iż nie przyjmie jak chyba***, ale to nonsens; przede wszystkim, ma on jakiegoś siostrzeńca w hrabstwie Yorkshire i chce otrzymać posadę dla niego. Wiadomo mu, iż wakuje taka posada w „Urzędzie Kontroli Szpa-gatu i Laku“. Jeżeli nie przyrzeczona komu innemu, chciej pan ją dać temu siostrzeńcowi Brutusa!“

— O, hańba! — zawołał Jańcio — o, kłamstwo! Nie, nigdy nie uwierzę, by Scully...

Scully — przerwał p. Crampton spokojnie — Scully jest to człowiek, który się zna na interesach i któremu wszystko się uda. Oto słuchaj Janie — posłuż ci to, jeżeli się dowiesz o tym i o owym o ty-dzień wcześniej, niżlibyś się dowiedział z gazet, bo ostatecznie nie chciałbym, ażebyś przepadł i poszedł w żebry dla braku informacji. My tu w ministerium znamy Scully'ego na wskroś i całą jego historię. Był w Oldborough adwokatem, należącym do partii to-ryswów. Starał się o obecną lady Gorgon i był przez nią zdradzony. Wskutek tego przeszedł do obozu ra-dykałów i przy wyborach pobił jenerała co do jednego krzesła. Jenerał byłby już dzisiaj parę królestwa, gdyby nie ten wypadek. A propos, mylady Gorgon be-dzie tu za pięć minut. Otóż mój kochany, mamy już w kieszeni tego twojego radykała. Czytaj!

To mówiąc, Mr. Crampton podał Jańciowi trzy nu-mery dziennika *Morning-Post*, w których zaznaczone były czerwonym ołówkiem artykuły następujące:

„Obiad u JW-go Henryka Hawksby. Obecni: Lord X., Lord Y., Lord Z., Księżę ABCDEFGHIJK., W. Pitt Scully, Esq“.

— Hawksby — rzekł nawiasem p. Crampton — to nasz pośrednik neutralny, dający obiady.

Dalej:

„Raut u lady Dyjany Doldrum. Obecni: Księżę O'Pudeldum, lord Mixedpickles, W. Pitt Scully, Esq“.

Na koniec:

„Wielki obiad u hr. Mantrap. Obecni: Jeden książę, czterech lordów, W. Pitt Scully i — jenerał Gorgon“.

Jańcio, przeczytawszy te notatki, czuł się nieco po-giębionym, ale wyprostował się przecież i rzekł:

— Był na obiadach i na rautach, ale głosował z opozycją!

— Kochany Janie — odparł p. Crampton, bawiąc się dewizkami u zegarka — wtajemniczam cię w straszne sekrety stanu! Wiedz: zadaniem walki stronnictw bywa w życiu parlamentarnym to, ażeby k u p i ć przeciwni-ka i kupić go — za nic!

Nim Jańcio zrozumiał tę sentencję, pojawił się woźny i szepnął panu Cramptonowi coś do ucha. Podsekretarz stanu skrzywił się, lecz spojrzawszy na Jańcia powie-dział:

— Niech Mylady wejdzie.

ROZDZIAŁ III

(Za kulisami)

Mr. Crampton poprosił Perkinsa, by zaczekał chwilę w przyległym pokoju, do którego drzwi były otwarte i tylko zasłonięte parawanem. Wujaszek polecił mu ażeby tych drzwi nie zamykał i tym sposobem Jańcio chcąc nie chcąc musiał słyszeć całą rozmowę podsekre-tarza stanu z lady Gorgon.

Milady przybrała była jakiś głos nadzwyczaj łagodny, uprzejmy i pieszczotliwy, zupełnie odmienny od zwyk-łego jej tonu. Mówiła p. Crampton, że jest niedobrym człowiekiem, bo zaniedbuje dawnych przyjaciół, że Sir George gniewa się na niego, z powodu, iż nigdy nie orzycchodzi na obiad, i że w domu ma trzy piękne córki, w których towarzystwie tak wesoły kawaler mógłby przyjemnie przepędzić wieczór.

Dalszy ciąg nastąpi



PARK na pozór taki sam jak inne, a jednak... Nie ma tu jednej rośliny nie opatrzonej tabliczką z nazwą łacińską i polską. Te liczne „wizytówki” mówią nam, że znajdujemy się w Ogrodzie Botanicznym, ulubionym miejscu warszawskich spotkań i spacerów.

Na czterohektarowej przestrzeni rosną obok siebie drzewa, krzewy i kwiaty wszystkich kontynentów, które przybyły tu ze swych rodzinnych stron w postaci skromnych próbek nasion. W pięciu szklarniach przystosowały się stopniowo do życia w zmienionych warunkach klimatycznych i dziś cieszą się już dobrym zdrowiem. Mają jednak swoje wymagania. Jeśli pochodzą z tropików, potrzebują nagrzanej i wilgotnej oranżerii, jeśli pochodzą z wysokich gór, dobrze czują się tylko w alpinarium; nawet roślinność śródziemnomorska wymaga szklarni, wprawdzie zimnej, ale dostatecznie chroniącej ją od częstych u nas chłódów.

Mniej wybredna roślinność ma już odwagę żyć na powietrzu, porasta baseny wodne, błotne i solankowe, imitujące stępy — trawniki,

sztuczne wydmy i klomby. Nad nimi to w pierwszym rzędzie pochylają się warszawianie, aby odczytać ich nazwę i kraj, z którego pochodzą.

Warszawski Ogród Botaniczny jest już stary, ma 134 lata. W jego alejach, jak pisał kronikarz *Kuriera Warszawskiego* „cała prawie Warszawa, pleć piękna, młodzież i starzy, dla przejażdżki i widzenia tak zwanego wielkiego świata uczęszczając, przyjemne przepędzali chwile”. Nigdy nie było jednak w tym ogrodzie takich tłumów, jak teraz. Dwa tysiące i więcej ludzi odwiedza Ogród Botaniczny nie po to oczywiście, aby podziwiać „wielki świat” rozbijający się karetami. Przychodzą uciechować wzrok na tej prawdziwej wystawie kwiatów, krzewów i drzew, wypoczywać w przyjemnym poczuciu dobrze wykonanej pracy. Robotnicy, młodzież, pracownicy umysłowi — oni wszyscy są teraz „wielkim światem”, wielką rodziną budowniczych Warszawy. I bez wątpienia nigdy Ogród Botaniczny nie miał godniejszych gości, niż właśnie dzisiaj.

Fot. „Świat”, Z. Małek i W. Prażuch



Nie wiadomo co najpierw oglądać. To pewne, że nikomu nie będzie się tu nudziło, gdyż całymi godzinami podziwiać można kształty pokrytych kwieciami gałęzi.



W cieniście zakątku parku tych dwoje odłożyło książki. Po nauce do egzaminu dobrze jest porozmawiać i o sobie. „A może jutro spotkamy się na tej samej ławce?”

Przyjemną pamiątką będzie zdjęcie wśród kwiatów. „Uwaga, proszę się uśmiechnąć!” Jeśli ktoś zechce je naśladować, niechaj jednak pamięta, aby nie deptać klombów.



Tych, którzy oglądają tulipany tylko w kwiaciarniach, gorąco zachęcamy, aby obejrzeli je w Ogrodzie Botanicznym, znajduje się tu bowiem cała ich kolekcja.



Te trzy studentki tak pogrążyły się w nauce, że nie zwracają żadnej uwagi na powąby przyrody. Niewiele obszedł je również fakt, że zostały „uwiecznione” na zdjęciu...



Czy z tymi kwiatami łączą się jakieś wspomnienia? Niechaj pozostanie to tajemnicą starszego pokolenia, którego przedstawiciele tak bardzo przywiązani są do Ogrodu.

SZEJCH - OL - EMAMI

IRAN POZNAJE POLSKĘ

Z GÓRĄ rok temu, w czasie wielkiej batalii narodu irańskiego z „Anglo-irańskim towarzystwem naftowym” (A.I.O.C.), powstało w Iranie „Narodowe Stowarzyszenie walki przeciw imperialistycznym towarzystwom naftowym”. Później stowarzyszenie to rozrosło się i dziś w nowych warunkach walki nosi inną nazwę: „Narodowe Stowarzyszenie Walki z Imperialistami”. Skupia dziś ono dziesiątki tysięcy patriotów, bojowników nie tylko o naftę, ale i o pokój i niezawisłość narodu irańskiego.

Wzorem i natchnieniem dla ludu irańskiego w jego walce wyzwoleniczej są sukcesy krajów demokracji ludowej, które wyzwoliły się z jarzma zależności od imperialistów. Naród nasz poznaje coraz lepiej cele budownictwa w krajach obozu pokoju, wielkie osiągnięcia tych krajów.

Ostatnio można w Iranie zauważyć duży wzrost zainteresowania życiem i pracą narodu polskiego. Miarą tego są nie tylko częste artykuły w prasie irańskiej, mówiące o sukcesach Polski Ludowej na polu walki o Plan 6-letni i pokój. Niedawno w Teheranie, w lokalu Irańskiego Komitetu Obrońców Pokoju, otwarta została wielka wystawa pod hasłem „Polska w walce o pokój świata”. Dowodem zainteresowania społeczeństwa irańskiego wystawą jest fakt, że w krótkim czasie obejrzało ją ponad 20 tysięcy osób.

Wkrótce potem ukazała się broszura „Polska dzisiejsza”. Dziś próżno byś jej szukał w księgarniach — cały nakład został wykupiony. Duże zainteresowanie wzbudził projekt Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, opublikowany przez tygodnik „Solhe pajdar”, oraz zamieszczone tamże przemówienie Prezydenta Bieruta.

I wreszcie ostatnio ukazał się na naszych ekranach film „Ostatni etap”, który wywarł duże wrażenie na naszej publiczności.

W społeczeństwie irańskim rośnie zainteresowanie, rośnie przyjaźń dla narodu polskiego, którego bohaterskie dzieje są dla nas budującym przykładem.

شماره مخصوص

برای سال ۱۳۴۸ است

تعداد دانشجویان و دانش آموزان آموزش آمریکایی از دولت که هزینه دریاچه میهنه را از ۲۹۰۰۰۰۰۰ غرانت و تعداد دانشجویان و دانش آموزان که از خانه های دولتی برخوردارند به بیش از ۱۷۰۰۰۰۰ نفر رسیده است. ده های مدارس و مراکز تحصیلی در ده ها سال گذشته است

دانشجویان و دانش آموزان بر صحنه سازمان های پیش آهنگی خویش شعار می دهند: دولت توده ای خود را تمام می دهد

جوانان لیستان بانی گیری و قهرمانی فراوانی با کارساختن موسسات و مدارس خود متولد

دولت توده ای برای جوانان لیستان آموزش می گزینی و رفاه

انسان دمکرات

دمارزده جوانان چین و کشورهای

دمو کراسی توده ای

اه تحکیم حکومت توده ای، سرکوب باند جاسوسی

ان کشور های دمو کراسی توده ای تحت اعظم دست های داوطلب برای یک سرود قهرمان کره را تشکیل می دهند

جوانان لیستان بانی گیری و قهرمانی فراوانی با کارساختن موسسات و مدارس خود متولد

دولت توده ای برای جوانان لیستان آموزش می گزینی و رفاه

میدانده که امپریالیست ها با همه میگویند که حکومت های دست درآیند آنها تبدیل کنند، آنها دارند که امپریالیست آمریکا چون دلار برای خرابکاری در این راستا با جاسوسی خود

زندگی و رفاه عمومی توده ها اکنون ایران قابل توجهی بالا

ای توده ای که هر گونه امکان را در جوانان در اختیار آسان

دیگر هیچ و هیچ غرضی بهره ن دارند و مالکان کارگران و اندران را می بینند

روز های دمو کراسی توده ای که در مقابل کارسازای با کار مردم مساوی دریافت می

ن گستر از هجده سال از کار در هنگام شهادت و جوانان گستر سال از کارهای بشر تحصیل

سپهروی خلق چین با پیروزی و برنام های اقتصادی و توده ای خود را اجرا

ن بازده موسسات تولیدی صنایع و طور سازه ای افزوده شده

گادهای سازده بسیار پیوسته و جوانان عضو سازمان جوانان

بوللایو روت رئیس جمهور لیستان آموزگار جوانان

یوزده امپریالیست که در انتظار گوشت دم

هومی را تأمین کرده است

اکنون دولت توده ای لیستان پیش از

توب نشانه میزند

Oto jeden z coraz liczniejszych w prasie irańskiej artykułów, omawiających sukcesy Polski Ludowej.



U góry: sekretarz Irańskiego Komitetu Obrońców Pokoju, red. Hormoz, przemawia na otwarciu wystawy polskiej w Teheranie. Poniżej: fragment jednej z sal wystawy, którą obejrzało ponad 20 tysięcy osób.



„Skarbie ty spełń me sny”

CZYLI

O OPERETCE

DO swej letniej rezydencji zjechała młoda księżna Rita, ogromnie bogata i znudzona, wobec czego zastanawia się w arii z dwoma bemolami, czy warto kochać? Aliści w tejże posiadłości jest ogrodnik Lajos — młody i ogromnie biedny, wobec czego śpiewa z marchewką w ręku: „Jam nie zasnął miłości”. Między księżną Ritą i ogrodnikiem Lajosem nawiązuje się nić sympatii, która przez pierwszy akt rozrasta się w linę wiecznej miłości. Niestety! W drugim akcie pojawia się na scenie wuj księżnej Rity, hrabia Ottomar. Hrabia Ottomar i jego żona hrabina Bianca weszła z miejsca, że coś jest nie w porządku, w duecie: „Jak ona śmie go kochać?!”. Dają czym prędzej znać o wszystkim ojcu księżnej Rity, księciu Perdanii, na co ów grozi Ricie wydziedziczeniem, w razie gdyby odważyła się zmieszać swą błękitną krew z marchewką. W kasę bity Rita musi rzucić Lajosa, udając dlań pogardę takimi słowami: „Więc wzięłeś mój kaprys za miłość?” Na to Lajos śpiewa fortissimo: „Tyś, ha! zdradziła mnie!” Tańczy z rozpaczem czaradza i odchodzi w siną dal. Korzysta z tego hrabia-wuj Ottomar, by wraz z publicznością podumać sobie nad dawnymi, niezapomnianymi czasami, kiedy to miało się 20 lat, a szampa lał się nie tylko przez noc i dzień, ale także i w „międzyzłazie”. W trzecim akcie, gdy wszyscy są już naprawdę zaniepokojeni, co się stanie z tą biedną księżną Ritą, okazuje się nagle a szczęśliwie, że Lajos jest nieprawym synem księcia Papesco, który właśnie zmarł i zapisał mu ogromną fortunę. Wobec tego nic już nie stoi na przeszkodzie szczęściu Rity i Lajosa. Padają sobie w ramiona, śpiewając: „Miłość, ach ta miłość!”.

Co to jest?! — To jest klasyczna treść pierwszej z brzegu klasycznej operetki z dawnego repertuaru. Drobnomieszczkańska publiczność uczyła się na takich brechtach wiary w najłatwiejszą karierę życiową drogą bogatego

ożenku lub spadku i w jedynie sensowną treść życia, jeśli się je spędza po kabaretach, zalewając się szampnem i romansując z szansonistkami.

TO CO NAJWAŻNIEJSZE

Czy zatem — wobec takiej przeszłości operetki — należy zerwać z operetką w ogóle?... Chyba nie. O przydatności operetki jako miłego ludziom lekkiego teatru muzycznego, świadczą nie tylko wołania z naszego terenu, lecz również ogromne powodzenie teatrów operetkowych w Związku Radzieckim.

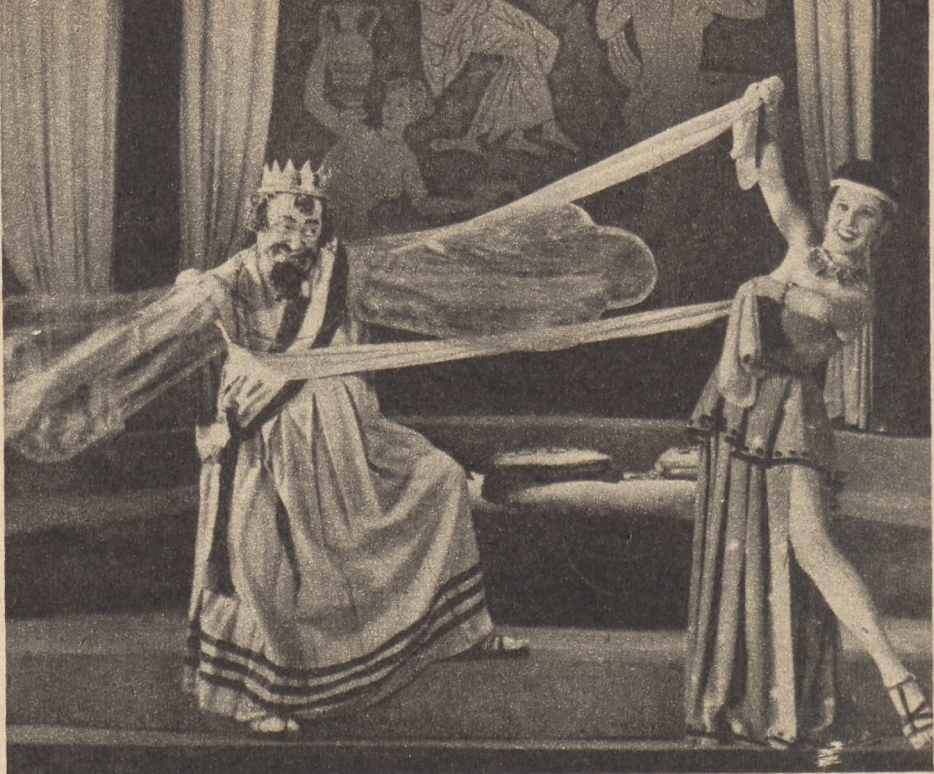
Należy przede wszystkim i u nas stworzyć nowy, współczesny typ operetki. Talentów kompozytorskich i literackich nam nie brak, tylko literaci i kompozytorzy nie bardzo wiedzą, jak się do tego zabrać.

Zadanie w istocie nie jest łatwe. Nie chodzi bowiem tylko o inne libretta ale i o muzykę, której rodzaj i klimat uczuciowy byłby odmienne. W miejsce dawnych, w większości clikliwych - sentymentalnych i często kosmopolitycznych melodii operetkowych muszą powstać melodie o rodowodzie polskim, które byłyby przepełnione radością i prawdą życia.

Wzorów mogą dostarczyć liczne piękne operetki radzieckie, z twórczością Dunajewskiego na czele. Ale to mogą być tylko wzory, służące do stworzenia operetki.

Oprzeć się na własnych tradycjach operetkowych byłoby nam trudno, gdyż są one dość nikłe. Mamy natomiast bogate tradycje w gatunku pokrewnym — w wodewilu, że przypomnę jedną tylko spółkę autorską wodewilistów polskich: Moniuszkę i Fredrę. Gdyby zaś sięgnąć głębiej w historię, to należałoby przypomnieć i o tym, że w dobie Oświecenia i w początkach XIX w. wodewile pełniły ważną rolę społeczno-polityczną.

Myślę, iż dobrze by było, gdyby nasi współcześni kompozytorzy i literaci pogrzebali trochę, choćby w takim zbiorze wodewilów polskich, jaki znajduje się w bibliotece Teatru Słowackiego w Krakowie. Pomogło by to im z pewno-



Scena z aktu II „Orfeusza”: Jupiter (J. Sciwiarski) i Eurydyka (B. Artemska).

ścią w próbach stworzenia nowego gatunku operetki polskiej, zwłaszcza że wodewile nasze oparte są często — tekstowo i muzycznie — na tematyce ludowej.

HR. CZY OB?

No, dobrze... A co zrobić z dawnymi operetkami? Czy odrzucić je w czambuł i grać tylko operetki komponowane obecnie?... — To byłoby niedorzecznością przesadą, bo w niektórych dawnych operetkach obok głupich librett jest ładna, czasami wprost wspaniała muzyka. Istnieją wielcy kompozytorzy operetkowi, których lekka twórczość godna jest stać obok wielkiej poważnej twórczości. Mam na myśli genialnego w swojej dziedzinie Jana Straussa. A obok niego jest wspaniały Offenbach, są inni...

Poczęto więc zastanawiać się nad tym, czy by nie zmienić tylko starych librett na nowe, zostawiając dawną muzykę. Sami jednak autorzy tych pomysłów doszli wkrótce do wniosku, że taka operacja — bardzo trudna technicznie — nie dałaby dobrych rezultatów. Gdyby Hrabinę Maricę zamienić mechanicznie na Obywatelkę-przodownicę, powstałby w najlepszym razie utwór scenicznie sztuczny i naiwny.

Jak zatem rozwiązać tę skomplikowaną sprawę? — Aby mieć, na własny użytek, materiał do rozmyślań, udałem się do Łodzi, żeby zobaczyć wystawionego tam „Orfeusza w piekle” Offenbacha.

WNIOSKI Z „ORFEUSZA”

Inscenizator i reżyser tej operetki, Jerzy Merunowicz, zaczął od nowego przekładu libretta. Wiadomo, że dawne

przekłady dokonywane były potworną polszczyzną, przez anonimowych zazwyczaj wyrobników pióra. Dlatego Merunowicz postąpił słusznie, ale zrobił za mało. W „Orfeuszu” — tak jak i w innych operetkach — są duże partie mówione. Te partie i kuplety zawierały aktualną w swoim czasie satyrę. Lecz owa mieszczańska satyra, rozprawiająca się z trójkątem małżeńskim, z problemem starych mężów posiadających młode żony, itp. — dzisiaj widza ani interesuje, ani bawi. Dlatego w łódzkim „Orfeuszu” mówione partie są martwe i nudne i należało by...

Tutaj nasuwa się pomysł, zdaje się zasadniczy dla zaktualizowania dawnych, wartościowych muzycznie operetek! — Libretta ich należy dać do obróbki naszym, co najłatwiej, satyrykom. Wówczas nie będzie trzeba zmieniać ich szkieletu treściowego, bo zmienić ich sens przez odpowiednie nasświetlenie satyryczne. W partiach mówionych, wprowadzając ewentualnie dodatkowe postacie, będzie można ponadto rozprawić się z aktualnymi zagadnieniami. Stare operetki nabiorą rumieńców życia, staną się przez to bardziej atrakcyjne i zabawne, nie tracąc ze swej muzycznej piękności.

NOWE KADRY

Tyle o stronie twórczej i przetwórczej nowych i starych operetek. Pozostaje do omówienia ważna, a wyglądająca dość opłakanie strona — odtwórcza.

Nie mamy aktorów operetkowych. A przecież mieliśmy dużo i to jakich! Adolfina Zimajer, Wiktorii Kawecka, Messalka, Redo, Morozowicz, Szczawiński... — gdzie są ich następcy? W tej chwili posiadamy jedną tylko, Beate Artemską, która dysponuje pełnym zespołem cech koniecznych na primadonnę operetkową: pięknym głosem, zdolnościami aktorskimi, umiejętnościami tanecznymi, urodą i temperamentem.

Tymczasem teatry operetkowe mamy dwa (Łódź i Lublin), a wkrótce będzie trzeci, montowany przez Sawana w Gliwicach. Trzeba spore kadry wykwalifikowanych aktorów, żeby obsadzić należycie choćby tylko te trzy sceny, nie mówiąc o następnych, które trzeba będzie zmontować. I tu powinno się nie tyle uderzyć, ile bić przez dłuższy czas na alarm.

Nasze coraz liczniejsze i spełniające niezwykle doniosłą rolę kulturalną estrady koncertowe nie mają pieśniarzy i recytatorów, operetki nie mają aktorów. I nie będą miały, póki przy konserwatoriach i szkołach aktorskich nie utworzy się osobnych klas recytacji estradowej, pieśniarstwa i operetki. Te trzy dyscypliny artystyczne, bardzo trudne, wymagają specjalnego przygotowania fachowego. — Im później zorganizuje się je, tym dłużej społeczeństwo nasze będzie się na próżno domagało i dobrej estrady i dobrej operetki. A że domaga się coraz natęczywiej, więc oba te gatunki produkcji artystycznych są mu widocznie naprawdę potrzebne.

JERZY WALDORFF



K. Czosnowska, artystka Operetki Warszawskiej z początku XX wieku.



Popularny artysta operetkowy — Julian Krzewiński (Maszyński) — rok 1915.



Jedna z najgłośniejszych artystek operetkowych — W. Kawecka (zdj. z r. 1915).

Drodzy Czytelnicy!

Zamieszczamy dziś wyjątki z trzech listów, nadesłanych w ostatnim tygodniu, które dotyczą spraw, poruszanych w ostatnich czasach na łamach naszej prasy.

„Przeczytałam list matki Belojannisa i jego towarzyszek z więzienia — pisze Józefa Stępień z Warszawy — które drukował „Świat”. Mam 68 lat, jestem matką trojga dorosłych już dzieci. Jeden mój syn zginął w czasie okupacji. Miałam lzy w oczach czytając te listy, bo i ja cierpiałam i ja po wielkim bólu czułam nienawiść do tych oprawców co zamordowali moje dziecko. Nikt lepiej nie zrozumie tych słów, jak my matki, które całe swe życie oddały wychowaniu dzieci, aby wyrosły na ludzi. Kiedy przypominałam sobie mojego Janka — serce mi się rwało. Ale kiedy kilka razy przeczytałam króciutki list matki Belojannisa, zrozumiałam to, co chyba najważniejsze. A to najważniejsze, myślę, jest właśnie nie dać zbirom podobnym do hitlerowców i tych faszystów z Grecji, aby mordowali nasze dzieci. My matki dlatego jesteśmy za pokojem, aby uchronić życie naszych synów, żeby mogli się uczyć i pracować, a nie ginąć tak straszliwie jak dzieci w Korei.

„Wdzięczna jestem z całego serca redakcji, że dała te listy, chociaż bolesne, ale i dodające sił nam, matkom, w walce o pokój dla naszych najdroższych dzieci”.

Ob. Kempniński z Poznania pisze o Wyścigu Pokoju w formie osobistego zwierzenia, które nie jest jednak aż do tego stopnia osobiste, abyśmy musieli je ukrywać.

„Nie jestem już młodzieniaszkiem i mam za sobą blisko 20 lat pracy urzędniczej i powiem Wam otwarcie (pierwsze zwierzenie Ob. Kempnińskiego), że co jak co, ale sport to mnie nic nie obchodzi. Bo też raz, czy dwa razy byłem przed wojną na jakichś meczach, gdzie się zdrowo prali i kopali, a publiczność między sobą też uprawiała rękoczynne treningi. Od tego czasu sport mi był obojętny, jak niektórym moim kolegom zza okienka... interesanci. I proszę sobie wyobrazić, ob. Redaktorze, że śledziłem jak 100-procentowy kibic cały przebieg Wyścigu Warszawa — Berlin — Praga. To był naprawdę piękny wyścig! Zarówno pod względem sportowym, gdzie kwitła najbardziej — jeżeli się tak można wyrazić — braterska rywalizacja, jak i dla celu, który mieli przed sobą zawodnicy. Cel ten bowiem jest bliski wszystkim ludziom, którzy swoje zdolności i siły oddali w służbę najdroższej dla ludzkości sprawy: walce o pokój i przyjaźń między narodami.

Radowałem się zwycięstwem Polaków, ale skłamałbym, gdybym powiedział, że czułem jakąkolwiek zawiść do zawodników innych narodowości, gdy zajęli dobre miejsce lub wygrali jakiś etap.

W tym liście początkującego zwolennika sportu, prawdziwego szlachetnego sportu, jaki jest możliwy tylko w krajach postępu i wolności, chciałem dać wyraz temu, że nawet stary urzędnik potrafi zrozumieć coś niecoś z tego co się u nas zmienia, rozwija i pięknieje”.

O ostatnich wielkich, masowych imprezach artystycznych nadesłał nam z Krakowa uwagi nauczyciel szkoły podstawowej, Ob. L.

„Byłem na Wawelu w czasie centralnych eliminacji zespołów studenckich. Na tle starej architektury Wawelu popisy młodzieży sprawiły urzekające wrażenie. Ale nie tylko o swoich wrażeniach chciałem napisać. Pragnę podkreślić — że to, co nazywamy upowszechnieniem kultury przestało być postulatem, czy nie sprecyzowanym zamierzeniem — ale jest już konkretnym i w poważnej mierze zrealizowanym stanem faktycznym. Kiedy oglądałem popisy artystyczne zespołów studenckich w Krakowie, w drugim starym grodzie na ziemiach polskich, w Brzegu, odbywał się olbrzymi festiwal pieśni i tańca. W tym samym czasie również tysiące książek rozprzedano na kiermaszach, zorganizowanych we wszystkich miastach i miasteczkach kraju. Mnie, jako wychowawcę młodzieży, porwały i wzruszyły te masowe manifestacje kulturalne, które są przecież nie czym innym, jak potwierdzeniem osiągnięć codziennej, żmudnej, ale i owocnej pracy nad podniesieniem poziomu umysłów szerokich rzesz w Polsce Ludowej.

Te wspominane manifestacje mówią nam o tym, jak dużo zrobiliśmy już w okresie powojennym w dziedzinie walki o pogłębianie świadomości obywateli i jak wiele zdziałaliśmy w kierunku ożywienia wrażliwości mas robotniczo-chłopskich na piękno sztuki, która przez długie lata była niezastąpionym przywilejem klasy pasierbów i wyzyskiwaczy”.

„ŚWIAT”

SWIAT

o tym wie!

ZBRODNI W OBRAZKACH

Właśnie w tym samym czasie, gdy my obchodziliśmy „Dni Oświaty, Książki i Prasy”, w prasie brytyjskiej pojawiły się alarmujące artykuły na temat zalewu rynku wydawniczego przez osławione „comics” amerykańskie. Wobec tego samego problemu stoją dziś zresztą wszystkie kraje Zachodu, do których wtargnęła „kultura atlantycka”. Te potworne „historijki obrazkowe”, którymi zaczytują się obecnie dzieci (i dorośli!) w Anglii, Francji, Włoszech, Belgii, Holandii, Trzonie, sieją prawdziwe spustoszenie w umysłach czytelników i powodują katastrofalne obniżenie poziomu kulturalnego krajów Zachodu.

Oto, co pisze na ten temat tygodnik brytyjski (bynajmniej nie postępowy) „Picture Post” w numerze z dn. 17 maja:

„Comics czytają nie tylko chłopcy, ale i dziewczęta, tudzież wielu dorosłych. Żołnierze kupują je w wielkich ilościach. Nakłady wzrastają w tempie zawrotnym. Nieznane tu przed wojną wydawnictwa przyszedł do Anglii wraz z amerykańskimi żołnierzami, którzy wychowali się na nich. Dziś można nabyć „comics” w każdym zakątku naszego kraju.

Podobne do siebie z wyglądu zewnętrznego, rozmiaru, koloru i ilości stron, wszystkie „comics” mają te same dwie cechy charakterystyczne: stosują technikę obrazkową i zajmują się wyłącznie zbrodnią i gwałtem — gloryfikując nieludzki stosunek człowieka do człowieka.

Czy wydawnictwo nosi podtytuł „American Comic Magazine” czy też nie, jest ono zawsze odbitką z książki ogłoszonej poprzednio w USA. Niektóre „comic books” są importowane wprost z USA, inne z Australii, Kanady, Francji, Holandii, ostatnio zaś coraz większą ich liczbę drukuje się w Anglii. Ale zawsze używane w nich kłóse są pochodzenia amerykańskiego.

Gdy analizujemy treść tych wydawnictw... zaczynamy rozumieć głęboki niepokój nurtujący rodziców i nauczycieli.

Albowiem niezależnie od tego, czy bohaterami „comics” są agenci FBI (amerykańska policja śledcza — przyp. red.), czy kowboje, uczeni, piloci statków międzyplanetarnych, gangsterzy czy też istoty z zaświatów — treść jest zawsze ta sama: zbrodnia — pościg — kara. W ramach tej nieskomplikowanej intrygi występują wszystkie możliwe i niemożliwe formy gwałtu. Kobiety i mężczyźni okładają się nawzajem pięściami, łomami, maczugami, ciałami ludzkie szpikowane są kulami, żgane nożami, przypalane ogniem i oblewane kwasem, miażdżone przez samochody i pociągi.

„Comics” opierają swój sukces na oddziaływaniu na system nerwowy czytelnika przy pomocy gwałtownych wstrząsów i tak jak narkoman musi stopniowo zwiększać dawki trucizny, tak też czytelnik, który się wrażliwość wymaga stopniowego potęgowania aktów brutalności.

Wszystkie „comics” opierają się na założeniu,



że ludzie są zli albo bezsilni wobec zła. Ta niewybredna „filozofia” uświadamia małe aktory gwałtu i służy do zamaskowania faktu, że istotą „comics” jest nie zwycięstwo sprawiedliwości, lecz brutalne zadawanie cierpień i śmierci. Ponieważ zaś mord przy pomocy kuli budzi chwilowo dreszcz zgrozy lecz z czasem przestaje oddziaływać na wrażliwość czytelnika, przeto autorzy często wskrzeszają swe ofiary, by raz jeszcze zadać im śmierć w okrutniejszej postaci... Jak głosi okładka jednej z tych książeczek: „Nigdy jeszcze nie czytałeś historii równie okropnych, wstrząsających i potwornych!!!” — Dosłownie.

A oto „ideologia” szerzona przez „comics”:

„Cudzoziemcy występują tu z reguły jako czarne charaktery, których przeciwstawieniem jest rasa nordycka, tak ukończona przez Hitlera. Włosi, Rosjanie, Żydzi, ludzie o ciemnym zabarwieniu skóry — to narody, którymi należy gardzić, nienawidzić ich — tępić.

Nie wolno lekceważyć wpływu, jaki tego rodzaju gloryfikacja gwałtu, nienawiści rasowej, wojny (wojna odgrywa ostatnio coraz większą rolę w „comics”) wywiera na dzieci i młodzież.

Prawnik brytyjski, E. Wallis Jones miał niedawno sposobność obserwować w sądzie następstwa tego kultu gwałtu, szerzonego przy pomocy książek, filmów i radia. „Przed sądem — mówił — stała często nieletni, oskarżeni o popełnienie przestępstwa, dokonanych pod wpływem sensacyjnej lektury”.

Istnieją dowody, że w Ameryce „comics” są również podnieci do popełniania przestępstw. Dr. Frederick Wertham, wybitny lekarz — psychiatra z kliniki Lafargue’a w Nowym Jorku, cytując liczne tego przykłady. Wśród nich znajduje się sprawa jedenastoletniego chłopca, który zamordował kobietę i przyznał się, że popełnił zbrodnię według wskazówek, które zawierała jedna z „comic books”. Dr. Wertham wysunął propozycję, by rozpoznać ten rodzaj wydawnictw w stanie New York zostało ustawowo zakazane. W ub. miesiącu gubernator Dewey założył veto przeciwko projektowi takiej ustawy, stwierdzając, że jest ona niekonstytucyjna”.

Publikujemy obok kilka reprodukcji z „comic books”. Oto, do czego służą w Ameryce i podległych jej krajach satelickich jeden z najgenialniejszych wynalazków człowieka — druk.



SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony:
Red. Naczelny: 6-10-69. Centrala 6-11-81, 6-12-83.
Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 7-52-50.
Prenumerata miesięczna zł 4.—, kwartalna
zł 12.—, półroczna zł 24.—, roczna 48.—.
Zakłady Wileśludrukowe i Introligatorskie
RSW „Prasa” — Warszawa, Okopowa 58/72
Zam. 337. Pap. rotogr. V/80 — 82 cm. 3-B-17837



TANIO i ŁADNIE

No tak, wszyscy kochamy dzieci... ale może rzeczywiście trochę już za dużo czasu ich moda wyłącznie wypełnia nasz dział?

Przychylając się więc do życzeń Czytelniczek bezdzietnych — wracamy na pewien czas do „dorostych modeli”. Dla porządku zaznaczamy, że tym razem nie są to modele Instytutu Wzornictwa Przemysłowego.

Na lewo u góry widzimy czarną suknię wizytową z dużą kamizelką z białej popeliny (popelina tę można dostać we wszystkich sklepach Centrali Tekstylnej), względnie z pikot. Kołnierzyk i mankiety oczywiście z tego samego materiału. Suknia jest gładka, z paskiem, a linie „robią” drapowane kieszenie.

Na prawo u góry suknia z kolorowego (bezdeseńowego)

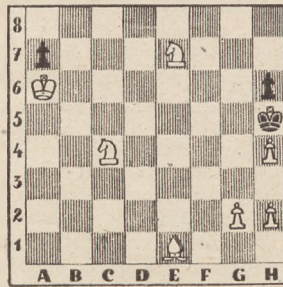
surowego jedwabiu (może być także z płócienka bawełnianego), której uzupełnieniem jest kapelusik słomkowy.

Na zdjęciu dolnym „zawsze elegancki i praktyczny strój: spódnica i bluzka. Bluzka biała, jedwabna — spódnica kolorowa z jedwabiu, bawełnianej tkaniny albo kretonu. Polecamy na wycieczki podmiejskie, na które (nie wątpimy) jeżdżicie w każdy dzień wolny od pracy.



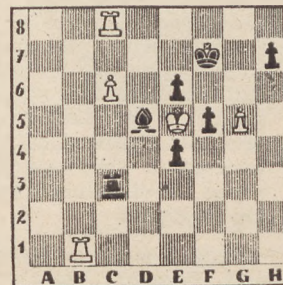
V KONKURS ROZWIĄZANIOWY

ZADANIE A 41
A. Galicki



Mat w 3 posunięciach.

ZADANIE B 42



W przedstawionej pozycji, pochodzącej z partii Smysłow-Flohr (XVII czempionat ZSRR) posunięcie przypada na białe. Po natychmiastowym 1. Kd6 czarne mogłyby odpowiedzieć 1... W:c6+!, uzyskując remis. Smysłow znalazł jednak piękną drogę do zwycięstwa. Jaką?

JESZCZE O ODKRYCIACH NASZYCH CZYTELNIKÓW

W związku z odkryciem przez naszych Czytelników dwóch defektów w klasycznych zadaniach R. Reti i A. Troickiego, publikujemy nazwiska „odkrywców”, którzy otrzymują dodatkowe nagrody. Są nimi: J. Klyszejko, Szczecin (zadanie A33), St. Czarnecki, Ziębice i Z. Madoński, Mrozy (zad. A37).

Równocześnie zamieszczamy wypowiedź w tej sprawie, nadesłaną nam przez znakomitego problemistę polskiego, M. Wróbla.

O POPRAWNOŚCI W KOMPOZYCJI SZACHOWEJ

M. WRÓBEL

Prawdziwą zgorą kompozytorów zarówno problemów, jak i studiów, są niepoprawności. Te usterki mogą być rozmaite, a więc: uboczne rozwiązania, to jest druga możliwość obok pomysłu autorskiego, dalej nierozwiązalność, czyli znalezienie takiej obrony, która obala intencję twórcy; ten defekt jest stosunkowo rzadszy. Niemniej groźne są drobniejsze defekty, jak częściowo uboczne rozwiązanie, czyli obejście myśli głównej w dalszym — niż wstęp — posunięciu, wreszcie niemożliwa pozycja, której nie da się wyprowadzić z partii.

Dlatego autor zazwyczaj z prawdziwym strachem sprawdza wynik pracy konkursów rozwiązań. A możemy stwierdzić, że nie ma autora, który by nie zaznał takiej niespodzianki — dyskwalifikacji zadania. I to są ciernie żywota kompozytora, który przez to traci nieraz najpiękniejsze swoje pomysły.

Nic więc dla specjalisty dziwnego, że skrupulatni Czytelnicy „Świata” mają na swym sumieniu dwa dziś klasyczne już studia, a mianowicie końcówki R. Rétiego i A. Troickiego; wpisują się oni tym samym do wielkiego grona podejrzliwych badaczy, którzy sprawdzają siłę pomysłu autorskiego. I co dziwniejsze — w obu wypadkach przez wiele lat nikt nie znalazł niepoprawności, a przecież studium Troickiego było publikowane w roku 1901, a kompozycja Rétiego w 1929 r.! A teraz przejdźmy do rozwiązań.

R. Réti, zadanie A33. — Autorskie rozwiązanie jest następujące: 1. Wd3+, Ke1 (blokowanie, co daje białym ważne tempo). 2. Wf3! Kd2! (po 2... Kd1 nastąpi 3. Gg4!) 3. Gf1!

ef1H 4. Wf1, Ke3 5. Kc2, f3 6. We1+ (6. Kd1 daje tylko remis np. 6... f2! 7. Wh1, Kf3 i 8... Kg2!) 6... Kf2 7. Kd2 z wygraną.

Nasi Czytelnicy dowiedli, że można jednak uzyskać zwycięstwo również i w inny sposób; uboczne rozwiązanie jest w porównaniu z autorskim mało interesujące. 1. Gg4, Kd3 2. Ge2, Ke2 3. Kc1, f3 4. Wa2+, Ke1 5. Wa8, f2 6. We8+, Kf1 7. Kd1 z wygraną. Droga do celu była zbyt prosta i najprawdopodobniej dlatego autor jej nie zauważył.

Jeszcze przykrejszy wypadek wykryto w końcówce A. Troickiego, (zadanie A37), znaleziono bowiem nierozwiązalność. Intencją autora było takie piękne rozwiązanie: 1. Wb8! Hd5+ 2. Kb2! Hf7 3. Wb7+, Ka8 4. Sc6! z matem lub zdobyciem hetmana. Tymczasem nasi Czytelnicy w drugim posunięciu czarnych znaleźli wzmocnienie, nie zauważone przez autora i zamiast słabszego 2... Hf7 zagrali 2... Ha5! 3. f8H, Hd2+, 4. Ka1, Ha5+! 5. kb1, He1+ i remis, gdyż czarne schwyciły wiecznego szacha. Jedno z klasycznych studiów Troickiego zostało rozbite. Wyda mi się, że dostawienie białego piona na c2 ratuje tę kompozycję.

Nie pierwszy to i nie ostatni wypadek w historii kompozycji. Był nawet taki stuprocentowy pesymista, arcymistrz Teichman, który również komponował problemy. W takich wypadkach zwykły był mawiać: „I to niepoprawne? Ależ to zupełnie naturalne, wszystkie przecież kompozycje są niepoprawne, tylko nie we wszystkich wykryto już jakiś defekt; ale poczekajmy — na pewno znajda”.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SZYFROGRAM

ROZWIĄZANIE
KRZYŻÓWKI Z NR 15 (38)

Prawoskośnie dośrodkowo: kadet, Terek, kulon, kanon, patos, selen, Baron, bekas, Kamil, zapad, hamak, lejek, komis, tabun, zanik, walet, motyw, kocyk.

Lewoskośnie dośrodkowo: kotek, Tacyt, kedyw, Kurek, palet, Sanok, beton, balon, Keres, rakon, Haman, lapis, Kemal, tojad, zamek, wabik, manus, Kolon.

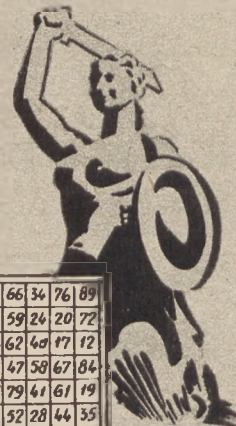
Za dobre rozwiązanie krzyżówki z nr. 15 (38) nagrody książkowe otrzymują: 1) W. Defilowska — Rynnik, ul. Kościuski 40, 2) J. Dziedziuk — Kraków, ul. Lubicz 3, 3) M. Jędrzejewski — Łódź, ul. Piotrkowska 83, 4) I. Jung — Chelm, ul. Stephensa 3, 5) H. Jutta — Łódź, ul. Piotrkowska 249, 6) Z. Kochanowski — Chorzów, ul. Karwiska 1, 7) D. Korzuc — Kraków, al. Słowackiego 12, 8) M. Król — Jasło, ul. Czackiego 7, 9) W. Kruk — w. Trabin, pow. Rypin, 10) M. Liwka — Bydgoszcz, ul. Hetmańska 26, 11) K. Massajda — Kielce, ul. Sienkiewicza 37, 12) E. Olszewski — jedn. wojsk., 13) M. Pomarański — Ostrzeszów, ul. Bohaterów Stalingradu 27b, 14) S. Rakowski — Poznań, ul. Mostowa 4, 15) B. Ratusiński — Kraków, ul. Skawińska 10, 16) M. Rydel — Łódź, ul. Sanocka 22, 17) W. Sokolowska — Gliwice, ul. Korfańskiego 19, 18) T. Tyryk — Gliwice, ul. Czesłochowska 2, 19) K. Wieczorkiewicz — Koło, ul. Sienkiewicza 10, 20) D. Zieleniecka — Gdańsk, ul. Klonowicza 65.

Nagrody wysyłamy pocztą i prosimy o potwierdzenie ich odbioru.

Do pionowych rzędów podanej figury (na miejsce liczb) wpisać 14 wyrazów siedmioliterowych o poniższych znaczeniach. Litery uszeregowane według kolejności odpowiadających im liczb od 1 do 98 dają rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 38) Uczesnik polowania, 22) Głosy,

38	22	3	50	15	48	10	82	45	86	66	34	76	89
83	96	31	74	92	23	73	27	69	57	59	24	20	72
51	14	65	11	42	80	71	16	63	66	62	49	17	12
33	75	70	91	85	29	95	90	8	2	47	58	67	84
98	77	30	56	25	68	94	39	21	36	79	41	61	19
1	18	54	5	37	32	88	81	78	49	52	28	44	35
46	6	97	60	7	53	43	26	93	53	13	4	37	9



brzmienia, 3) Teren przeznaczony do ostrych strzelań, 50) Gliniany instrument muzyczny, 15) Królowa hiszpańska, która dopomogła Kolumbowi w wyprawach do Nowego Świata, 48) Czołowy tenisista radziecki, 10) Rzeka nad którą leży Nowy Sącz, 82) Tytuł słynnej komedii Moliere, 45) Zajęcia uniwersyteckie, 86) Zgrubienia niektórych narządów ciała, 66) Miejscowość na

linii Wołomin — Małkinia, 34) Dwuzębnostwo, 76) Dolna część tułowia (w liczbie mnogiej), 89) Wapienie dające się poleć.

Rozwiązania należy nadsyłać pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązania, rozlosowanych zostanie

20 nagród książkowych

TEATR ŚWIAT

DYREKCJA: JAN SZELĄG DEKORACJE I KOSTIUMY: HA-GA

Dziś: sztuka historyczna z okresu przejściowego zwycięstwa burżuazji. Przydatna dla tych, co to jeszcze mówią o „dawnych, dobrych czasach“. Dawne czasy były dobre, ale dla kogo? O tym mówi utwór współczesnego tamtych czasom satyryka.

Specjalna adaptacja dla Teatru „Świata“: Antoni Marianowicz.

ANTONI ORŁOWSKI (Krogulec) NA ŚWIECONYM

Komedyjka z roku 1908

Osoby:

Burżujski, kamienicznik warszawski
Burżajska, jego żona
Fifi, ich córka, panna na wydaniu
Kołtun-Kretyński, kawaler do wzięcia
Na Skrobirzepach - Skrobirzepski, b. obywatel ziemski.
Goście pici oboje.

(Rzecz dzieje się w mieszkaniu Burżujskiego)



BURŻUJSKI (do Skrobirzepskiego): No, kochany dzie-
dzicu, wedle tradycji staropolskiej, podzielmy się
naprzód jajkiem.

SKROBIRZEPSKI: Daj nam Boże.

FIFI (do Kretyńskiego): A pan się ze mną nie po-
dzieli?...
KRETYŃSKI: Z rozkoszą! To właśnie moje marze-
nie!

BURŻUJSKI: Nareszcie w tym roku możemy święta
spędzić spokojnie, po ludzku. Bo to, panie, tamtych
lat Sodoma i Gomora była, anarchia zupełna!...
Wódeczki?

SKROBIRZEPSKI: Święte słowa pana dobrodzieja.
Wódeczki można.

BURŻUJSKI: Ani wyjść na ulicę, ani siedzieć w domu
nie można było spokojnie.

SKROBIRZEPSKI: Naturalnie, naturalnie. Ja zawsze
mówiłem, że to się źle skończy. (zajada). Wyborny
prosiak!

BURŻUJSKI: U mnie zawsze wszystko wyborowe.
Człowiek, panie, orze jak wół, z lokatorami się
użera jak wilk, po sądach i cyrkulach lata jak
chart, niechże przynajmniej choć zje porządnie
za swoją pracę.

SKROBIRZEPSKI: Słusznie, panie dobrodzieju. Syty
żołądek to podstawa ładu i dobrobytu krajowego.
(stuka się kieliszkiem z Burżujskim). Daj Boże,
żeby już nigdy takich lat nie było, jak dwa po-
przednie.

BURŻUJSKI: Okropne lata! Do tego przecież doszło,
że musiałem lokatorom pospuszczać komorne. Za-
grozili szelmy, panie, że jeżeli się nie zgodzę, to
mnie w worku z własnego domu na ulicę wywiozą.
No, ale teraz nie ma strachu. Już na ten rok wpro-
wadziłem małą podwyżkę, a na przyszły poprawię.
Cóż to ja darmo będę pracował? Człowiek, panie,
orze jak wół!...

SKROBIRZEPSKI: ...i užerać się musi jak wilk. Wiem,
wiem, panie dobrodzieju, bo i na wsi nie było le-
piej. Chamy podniosły głowy, dziedziców w rękę
nie całują, koniec świata, panie dobrodzieju.
A w dodatku tym gadaniem o wywłaszczeniu zu-
pełnie im w głowach przekreśli.

BURŻUJSKI: Tradycję, panie, szanować, a wszystko
dobrze będzie.

SKROBIRZEPSKI: Pan dobrodzieju czynem popiera
swe słowa. I indyk tradycyjny, i prosiaczek —
palce lizać, i baby staropolskie.

BURŻUJSKI: A bo i żona moja za tradycją i córka,
panie!...

SKROBIRZEPSKI: A ten młodzieniec, który z có-
reczką pańską rozmawia, kto to taki?

BURŻUJSKI: Kołtun-Kretyński, porządny człowiek
z przyswoitej rodziny. Niepodobny wcale do dzi-
siejszej młodzieży, co to tylko kąty po więzieniach
wyciera.

BURŻUJSKA (podchodzi do nich): A panowie ciągle
pewnie o polityce rozmawiacie. Dalibyście raz
spokój, bo już słuchać obrzydło.

SKROBIRZEPSKI (całuje ją w rękę): Święta prawda,
pani dobrodziejo. Ja już dlatego gazet do ręki nie
biorę, bo nic tam nie ma, tylko polityka i polityka.

BURŻUJSKA: My też przestaliśmy „Kurierka“ trzy-
mać, czasem się tylko pożyczka od sąsiada z dołu,
jak jest co ciekawego. Za to Fifi ambonuje Szer-
loka Holmesa. Powiadam panu, śliczne historie.

SKROBIRZEPSKI: Znam, znam, pani dobrodziejo,
a nawet kupuję, bo przecież trzeba literaturę
swojską popierać. Któż to będzie robił, jak nie
my — inteligencja.

BURŻUJSKI: Ja dziś już i o Dumie nie czytam. Zgnie-
wało mnie, że ciągle o różnych ulgach mówią, a o
ulgach podatkowych dla właścicieli domów nikt
nie pomyśli. A to nam przede wszystkim potrzeba
— reszta faramuszek!

BURŻUJSKA: Daj już pokój, mężusiu, ze sprawami
społecznymi. Znudzisz dziedzica.

BURŻUJSKI: Masz rację, żonusi. Napijmy się lepiej
węgrzyna (do Skrobirzepskiego). Nie powstydzę
się tego winka, czyste jak łza... sześć rubli butelka.

SKROBIRZEPSKI: A no, spróbujmy tego nektaru.
Jedyna to ośłoda na te ciężkie czasy.

BURŻUJSKI: Oj, że ciężkie, to ciężkie. W tym roku
ledwie 8 procent z domu wyciągnę. Ale na przy-
szły muszę mieć 15 procent. Zaraz po świętach
poślę lokatorom zawiadomienie o podwyżce kom-
ornego. (Stuka się kieliszkiem ze Skrobirzepskim)
Daj nam Boże!

SKROBIRZEPSKI: Wszystkiego dobrego, panie dobro-
dzieju.

KURTYNA

PRZED ZŁOTEM MŁODYCH PRZODOWNIKÓW — BUDOWNICZYCH POLSKI LUDOWEJ



— Co się stało, że tak szybko pracujesz?
— Muszę zdążyć na randkę...
— Na którą?
— Na 20 lipca w Warszawie!...



Kolegę Łazikowskiego zawieziemy na Złot, jako
przedstawiciela brakorobów, w wyprodukowanym
przez niego garniturze...



— Zamawiam pierwszy taniec w karnawale zło-
towym.
— O ile ładnie przygotujesz salę balową.

ANEGDOTY

Mark Twain przeżywał pew-
nego razu w towarzystwie, w
którym było kilku amerykań-
skich rekinów finansowych, a
że opowiadał niezwykle histo-
rie słuchacze śmiali się do
łez.

Pewien król nafty oświad-
czył: „Czegoś podobnego jesz-
cze nie słyszałem, póki żyję!“
I sięgnął do kieszeni po chu-
steczkę do nosa.

„Oho! — odparł Mark Twain
— Właśnie widzę coś jeszcze
bardziej dziwnego: król nafty
sięga ręką do własnej kie-
szeni!“ (jg)

Zmarły przed stu laty wy-
bitny poeta rosyjski W. Zu-
kowski (genialny tłumacz!)
podróżował kiedyś po Szwaj-
carii. Pewnego dnia udał się
w gronie znajomych na wy-
cieczkę w okolice podmiejskie.
Ktoś z towarzystwa zapropon-
ował wdrapanie się na szczyt
stromej góry, skąd można
było zachwycać się pięknym
widokiem.

— O, dziękuję uprzejmie!
— odparł Zukowski. — Wobec
gór zachowuję się tak, jak
wobec dam: przebywam zaw-
sze u ich stóp... (jg)

Na kilka lat przed pierw-
szą wojną światową cesarz
niemiecki Wilhelm II przybył
z oficjalną wizytą do Peters-
burga, ówczesnej stolicy Rosji.
Powitany na dworcu ko-
lejowym przez kompanię ho-
norową jednego z pułków ro-
syjskich, władca Niemiec za-
uważył na sztandarze pulko-

wym odznakę w postaci srebr-
nego orła. Zaciękawiony tym
spytał chorążego: „Za co wasz
pułk otrzymał to odznacze-
nie?“

„Za zdobycie Berlina w ro-
ku 1761, wasza cesarska
mość!“ odrzekł chorąży.

Dalszych pytań Wilhelm II
już nie zadawał. (jg)

Młody autor czytał swą
sztukę w obecności artystów
teatru, między którymi znaj-
dował się słynny aktor Tal-
ma. Autor, skończywszy czy-
tanie, zauważył, że Talma
śpi.

— Proszę pana — wola —
więc pan zasnął, a tak mi za-
leżało na pańskim zdaniu!

— Sen to także zdanie!
— odparł Talma, przecierając
oczy.

Pewien krytyk wyrzucał
Dumas'owi, że w jednej ze
swych powieści mówi o „bo-
lesnej gróźni, jaka powoduje
chwilę słabości“.

— Dziwne — powiedział —
jakim sposobem rzecz pusta
może być bolesna?

Na co Dumas chłodno:
— Czy pan nigdy nie odczu-
wał bólu głow?

Pewien kompozytor zaprosił
Brahmsa, aby wysłuchał
jego symfonii. Po zakończeniu
koncertu, wszyscy zaczęli gra-
tuluować twórcy. Tylko
Brahms stał milcząc na ubo-
czu. Młody muzyk podszedł
do niego-i, wyraźnie urażony,
zapytał:

— Mistrzu, czy pan mi nic
nie ma do powiedzenia?

— Widzi pan, drogi przyja-
ciele — odparł Brahms — co
by tu panu powiedzieć? Ja
ponad godzinę przysłuchiwa-
łem się panu i pan mi także
nic nie powiedział!

Cesarz austriacki, Franci-
szek Józef, zwiedzał więzienie,
— Za co skazano tego czło-
wieka? — spytał naczelnika
więzienia, wskazując na wy-
biedzzonego starozwina.

— Za kradzież bochenka
chleba.

— Hm, a dlaczego ukradłś-
cie ten chleb? — zwrócił się z
zapytaniem do więźnia.

— Bo byłem głodny, najjaś-
niejszy panie.

— Głodni byliście? No, no!
Jak się jest głodnym, to się
nie kradnie, tylko się siada
do stołu i je!...

Słynny śpiewak Caruso miał
słabość do pisania humoresek
i to złych. Mimo to uważał, że
pisanie jest jego prawdziwym
powołaniem i pewnego razu
zapropował pewnemu saty-
rykowi, że mu odczyta swój
utwór.

— Proszę nie próbować! —
zawołał satyryk ostrzegawczo
— bo inaczej, słowo panu da-
ję, ja zacząć śpiewać!...

Helne powiedział raz:
— Mimo protekcji różnych
osób, byłbym umarł z głodu,
gdyby się mną nie zajął pe-
wien dziwny człowiek. Bardzo
mu jestem wdzięczny i szko-

da, że go nie mogę ucałować,
bo tym człowiekiem — jestem
ja.

Gdy mistrz Solski obchodził
swoje 94 urodziny, kazał sobie
zrobić fotografię. Wezwany
fotograf, młody chłopak —
powiada:

— Mam nadzieję, że wezwie
mnie mistrz również i na setne
urodziny!

— Całkiem możliwe — odpo-
wiedział mistrz, — wygląda
pan zupełnie zdrowo!

Puszkina napisał raz ostrą
satyrę na chciwość i rozpustę
ministra dworu i faworyta car-
skiego, Adlerberga. Ten wez-
wał do siebie szefa żandar-
mów, gen. Beckendorfa i po-
ścił mu Puszkina surowo uka-
rać. Posłał tedy po Puszkina
i gdy tenże przybył, rzekł do
niego:

— Przyznaj mi się, kogoś
miał na myśli, pisząc tę satyrę,
a słowo ci daję, że ci to
ujdzie bezkarnie.

— Jeśli W. Eksceleńcja chce
to koniecznie wiedzieć, to
przyznam się, że miałem na
myśli W. Eksceleńcję — rzekł
Puszkina.

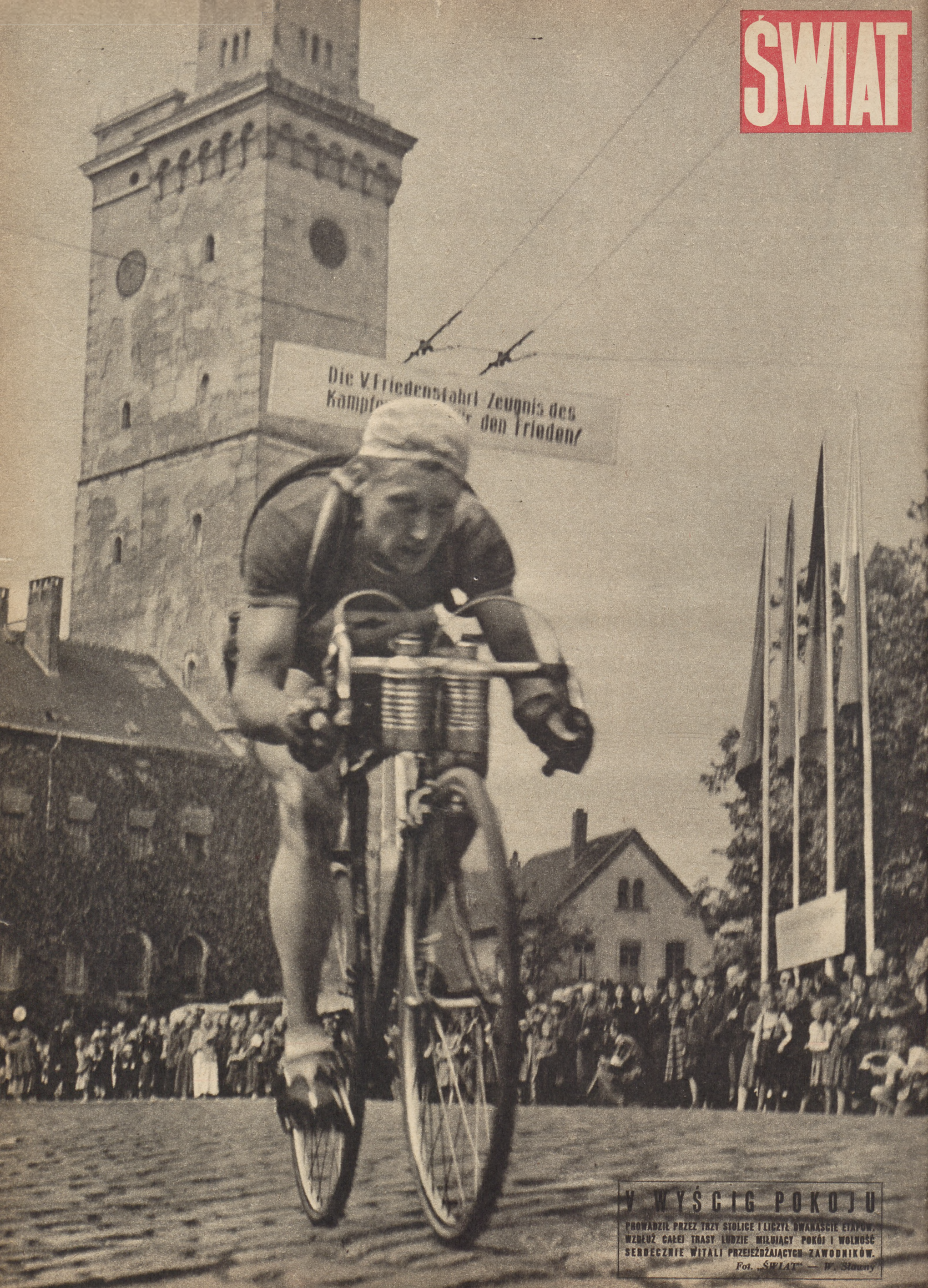
— Jakto? Przecież ja nie
jestem ani chciwy, ani roz-
pustny. Pan widocznie miał
na myśli hr. Adlerberga, bo
sam mi się skarżył.

— To dziwne! Pan, panie
generale nie poczuwa się do
tego wizerunku, mimo iż pana
upewniam, a hr. Adlerberg
przynajmniej się do niego, choć
temu przeczę.



Po opublikowaniu wykradzonego przez Intel-
ligence Service raportu amerykańskiego admi-
rała.

WSPÓŁPRACA ATLANTYCKA...



Die V-Friedenstafel Zeugnis des
Kampfes für den Frieden

V WYŚCIG POKOJU

PROWADZIŁ PRZEZ TRZY STOLICE I LICZYŁ DWANASIE ETAPÓW.
WZDŁUŻ CAŁEJ TRASY LUDZIE MIŁUJĄCY POKÓJ I WOLNOŚĆ
SERDECZNIE WITALI PRZEJEŻDŻAJĄCYCH ZAWODNIKÓW.

Fot. „ŚWIAT” — W. Sławny